

Dziś w numerze: **Wielkie Zaskoczenie** • **Centrum dies ante maturitatem**
Pół żartem, pół serio • **Laury dla zasłużonych** • **Janka**
Wiersze • **Felietony** • **Recenzje**

odgłosy



8 (538)
25. II. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

ROMAN GORZELSKI

Poligloci i moda na język polski

Jedne źródła podają, że jest ich ponad sto, inne znów, że około dwustu. W Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej (tom 50) czytamy: „Ustalenie dokładnej liczby języków w ZSRR na razie jest niemożliwe. Proces formowania się niektórych z nich jeszcze się nie zakończył, inne języki z kolei nie zostały dokładnie zbadane...”

Jak widzimy, nie są to aż tak proste sprawy, jakby się pozornie zdawało. Np. w Krasnojarskim Kraju (wschodnia Syberia) żyje plemię Chakasów. W warunkach Rosyjskiego Imperium był to naród zacofany, liczący zaledwie 50 tysięcy mieszkańców, rozrzucony po stepach i lasach, a posługujący się pięcioma narzeczami: tak różnymi od siebie, jak np. język polski i język rosyjski. Po rewolucji naród ten otrzymał autonomię w Federacji Rosyjskiej, a wraz z nią własne szkoły, prężny, prasę, i wtedy wynikła konieczność utworzenia ogólnochakaskiego języka, który został opracowany i jest już w użyciu, ale obok niego istnieją w dalszym ciągu i stare narzecza. W związku z tym należy sobie zadać pytanie: ile jest chakaskich języków w ZSRR: jeden, pięć, czy sześć? I każda z tych trzech odpowiedzi będzie słuszna.

A Kaukaz? Z niewielką przesadą można powiedzieć, że tam prawie na każdej górze mieszka jakiś samodzielny naród posługujący się własnym językiem. Oczywiście, nie muszą chyba dodawać, że ze względów administracyjnych jest to trudność nadzwyczaj uciążliwa, chociaż, jak wiem, nie narzekają na to językoznawcy.

Spis powszechny przeprowadzony w 1959 roku rejestruje istnienie 105 narodowości na terenie ZSRR. Pod uwagę w tym przypadku brano tylko te ludy, które nie mają własnych państw poza granicami Związku Radzieckiego. Z prawnego punktu widzenia w ZSRR jest 105 języków. Wydawałoby się, że jest to istny raj dla filologa-poligloty, ale praktycznie rzecz biorąc, jeżeli z tymi ludźmi można z całą pewnością, lepiej lub gorzej, porozumieć się z pomocą znanego im przeciwieństwa języka rosyjskiego, to cały trud wkuwania słów, zwrotów i prawideł gramatycznych nie opłaca się. I w przypadku tego wielonarodowego państwa wystarcza dobra znajomość rosyjskiego, o czym mogłem w podróży przekonać się na swojej własnej „językowej skórze”. Ale przecież, jak wszędzie, i tutaj też możemy znaleźć wiele wyjątków. Należą do nich poligloci, opanowujący każdy język, jaki im „nawinął się pod rękę”. Oto jeden z nich. Czyta i mówi dwudziestoma pięcioma językami. Na pytanie, ile zna języków, odpowiada:

— Dwa.

— A pozostałe dwadzieścia trzy?

— Tylko mówię i czytam. A dobrze znam dwa, Łacinę i suachell.

— Co znaczy — „dobrze”?

— To znaczy, że mogę w tych językach myśleć. A w języku suachell czasem mówiam sny... Mówię swobodnie po angielsku, niemiecku, polsku, ukraińsku, włosku, krymsko-tatarsku. Trochę gorzej po francusku, hiszpańsku, portugalsku, turecku i arabsku.

— A czyta pan?

— Po bułgarsku, serbsku, chorwacku, czesku, holendersku, kazachsku, azersko-azerbajdżańsku, urdu, afrikaansu.

Dalszy ciąg na str. 4



KONRAD FREJDlich

Przytulek
dobrej
nadziei

Budynek z daleka przypomina szkołę, ale to tylko architektoniczne złudzenie. W stylu „tysiąclecia” buduje się także szpital i sanatoria. Na ulicy Paradnej, gdzie kursuje autobus łączący Józefów i Chojny, stanął w końcu roku sześćdziesiątego trzeciego dom dla ludzi potrzebujących opieki: starych albo ułomnych.

W hallu nie słychać gwaru, jaki zazwyczaj wytwarza każda ludzka zbiorowość. Wszystkie dźwięki są tu stłumione, rozmowy ściszone do szeptu. Korytarz blokuje wózki inwalidzkie zgromadzone w takiej ilości, że mimo woli kojarzą się z kolekcją jakiegoś przeraźliwego sadysty. Ma się ochotę zakwestionować ich realność. Portier milczy. Potem powiada:

— Latem jest tutaj bardzo ładnie. Dużo ludzi przychodzi kąpać się w Stawach Jana. Nie jest rozmowny, trzeba z niego wyciągać każde słowo.

— Poza tym mamy park, wozimy tam chorych na spacer.

W pierwszych miesiącach roku sześćdziesiątego czwartego do domu na ulicy Paradnej przywieziono „Babcie”. Zamieszkała tu zupełnie incognito, nie miała, a raczej nie używała nazwiska. Jeszcze teraz potrafi się czasem gniewać, gdy ktoś zwróci się do niej oficjalnie. „Proszę pani”. Może rekompensuje sobie w ten sposób brak wnuków albo uważa, że słowo „Babcia” bardziej przystoi jej wiekowi? Nie wiedzą tego nawet ludzie z najbliższego otoczenia. Staruszka nie jest gadatliwa. Wspominanie sprawia jej wysiłek.

Jak żyła, zanim znalazła wreszcie opiekę w domu na Paradnej? Z tym właśnie są największe kłopoty. Zdarzenia, nawet bardzo odległe w czasie, po namyśle potrafi „Babcia” odtworzyć, ale im daty świeższe, tym trudniej jej to przychodzi, pamięć się nagle urywa.

Przyszła na świat 18 grudnia anno domini

ni 1867 w Koninie, mieście rządowym, które leży, jak to można wyczytać z ksiąg drukowanych w tamtych latach, „nad Wartą, w miłym położeniu pośród łąk, o 7 mil od Kalisza odległe, przy trakcie z Warszawy do Poznania prowadzącym”. Liczył sobie wtedy Konin ludności 5975 głów, domów było w miasteczku 262, z czego 102 murowane i takim się utrwalił w pamięci „Babcie”, choć, oczywiście, nie potrafiłaby powołać tych liczb, które cytujemy za „Encyklopedią Powszechną” wydrukowaną o trzy lata wcześniej.

Ojciec „Babcie”, pan Wielichowski, jego imienia przypomnieć sobie nie może, był z zawodu damskim krawcem. Matka, skołigaccona z Przedeździem, wniosła w posagu herb i nie więcej, bo na skutek represji

Dalszy ciąg na str. 5



Przyszły tydzień będzie tygodniem spotkania konsultacyjnego partii komunistycznych i robotniczych w Budapeszcie. W miarę jak zbliża się termin rozmów — 26 lutego, mnożą się artykuły prasowe i oświadczenia na temat tego spotkania, w którym najprawdopodobniej wezmą udział delegacje około 70 partii.

Ostatnie dni przyniosły m. in. decyzje Komitetu Centralnego Rumuńskiej Partii Komunistycznej o wzięciu udziału w budapeszteńskich rozmowach przygotowawczych.

Będziemy mieli jeszcze okazję powrócić do tematu — dzisiaj przypomnijmy więc tylko, że ostatnia narada partii komunistycznych i robotniczych odbyła się w listopadzie 1960 r. Od tej pory sytuacja w świecie uległa dalszej komplikacji. Tym bardziej dlatego zachodzi potrzeba przedyskutowania wytworzonej sytuacji i uzgodnienia stanowisk.

Spotkanie budapeszteńskie, z inicjatywą którego wystąpiło 18 partii, a w tej liczbie i Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, ma na celu przygotowanie światowej narady. W obecnych warunkach, kiedy nie ma i być nie powinno, żadnego międzynarodowego ośrodka kierowniczego — narady są jedynym instrumentem wymiany poglądów i uzgodnienia przyszłych działań.

Przebieg konsultacyjnego spotkania w Budapeszcie śledzić będziemy z największą uwagą.

Po tych kilkunastu dniach na temat tego, co przyniesie przyszły tydzień, przejdziemy do wydarzeń minionych dni.

I znów, jak to od dłuższego czasu zdarza się najczęściej, na plan pierwszy wysuwa się Wietnam.

Podczas gdy wojska powstające w niedzielę rozpoczęły nową ofensywę, a Stany Zjednoczone ustami sekretarza Rusa znów rozprószyły nadzieje na podjęcie negocjacji — stolice czterech krajów odwiedził U Thant. Podróż sekretarza generalnego do Indii, ZSRR i W. Brytanii, sądząc po doborze jej celów, związana była przede wszystkim z problemem wietnamskim. Wiadomo bowiem, że India jest przewodniczącym Komisji Kontroli i Nadzoru, a Zdzisław Radziecki i W. Brytania były współprzewodniczącymi konferencji genewskiej w sprawie Indochin.

Kiedy już U Thant zakończył rozmowy w tym „trójkacie” i wydawało się, że bezpośrednio z Londynu poleci do Nowego Jorku — nieoczekiwanie zdecydował, aby odwiedzić jeszcze Paryż. Agencja Reutersa utrzymuje, że to nagłe postanowienie zaskoczyło nawet przedstawicieli rządu francuskiego, którzy dopiero w kilka godzin po zmianie planów U Thanta potwierdzili jego przejazd.

Sekretarz generalny ONZ rozmawiał w stołecy Francji z prez. de Gaulle'em i m.in. Couve de Murville'em. Zdaniem jednak większości obserwatorów nie te spotkania sprawdziły go do Pariza. Istotnym powodem miało być przeprowadzenie rozmowy z delegatem generalnym Demokratycznej Republiki Wietnamu, które to spotkanie stało się też przedmiotem głównego zainteresowania komentatorów. Nie wiarygodnego dotychczas o nim nie wiadomo, a skala ocen całej podróży U Thanta jest bardzo duża.

Szczególne zainteresowanie wzbudza to, czy sekretarz generalny wystąpił z jakąś nową inicjatywą, a jeśli tak — to z jaką? W kołach ONZ w każdym razie przeważa pogląd, że jego podróż nie była bezowocna. Ile jest w tym racji — przekonamy się w najbliższym czasie.

Paryż w ostatnich dniach był także miejscem rozmów francusko-zachodniemieckich. Wraz z kanclerzem Kiesingerem przybyła do stołecy Francji niemal potłupa gabinetu bońskiego. Rozmowy ze strony francuskiej poprzedziło specjalne posiedzenie Rady Ministrów. A więc przygotowano się do nich staranniejsz niż kiedykolwiek. Nie dziwnego — dialog odbywał się przecież w oparach incydentu z Ravensburga. Choć — jak pisał już na tym miejscu — sprawę oficjalnie zakończono, nikt naprawdę nie ma wątpliwości czy Brandt rzeczywiście nie mówił wówczas „o antyeuropejskim i opanowanym żądzą władzy szefie jednego z państw europejskich”.

Kiesinger i jego ministrowie zabiegali w Paryżu głównie o szybkie otwarcie W. Brytanii drogi do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Misja podwójnie delikatna — i dlatego, że Francja ma na ten temat swoje zdecydowane stanowisko, i dlatego, że Kiesinger ustawiając się w swej polityce frontem do Anglii nie chce jednocześnie pogorszenia stosunków z Francją.

O tym, że misja w pierwszej części się nie udała — mogą świadczyć słowa kanclerza po powrocie do Bonn. Przyznał on, że „w istniejących warunkach nikt nie mógł oczekiwać natychmiastowego przystąpienia W. Brytanii do EWG”.

Dwudniowe rozmowy zakończyły się jednak deklaracją, z której wynika, że osiągnięto ogólne porozumienie o dalszym rozwoju Europejskiej Wspólnoty oraz wyrażono gotowość rozszerzenia wymiany handlowej i współpracy przemysłowej między EWG i EFTA, któremu to zrzeczeniu wolnego handlu przewodzi Anglia. W jakim stopniu jest to krok naprzód w kierunku rozszerzenia wspólnoty, a w jakim tylko zabieg taktyczny — wykaże z pewnością sesja rady ministrów spraw zagranicznych EWG, zwołana na 29 lutego do Brukseli.

Z frontu wydarzeń bliskowschodnich odnotować trzeba 8-godzinny bityw izraelsko-jordański, która oceniana jest jako najpoważniejsze starcie od czerwca ub. roku. Nie wyklucza się, że kraje arabskie wniosą sprawę na forum Rady Bezpieczeństwa. Nieustające prowokacje Izraela unaczyniają niebezpieczeństwo, jakie niesie nieuregulowanie konfliktu.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ Minister spraw zagranicznych Francji — Couve de Murville oświadczył, że w rokowaniach na temat przyszłości Wietnamu „południowego” „muszą uczestniczyć ci, którzy są najbardziej reprezentatywnymi przedstawicielami Wietnamu południowego”. Większość obserwatorów politycznych zinterpretowała te słowa jako oznakę, że zdaniami Francji, Front Wyzwolenia Narodowego reprezentuje Wietnam południowy.

■ W Pekinie odbyło się posiedzenie Miejskiego Komitetu Rewolucyjnego w sprawie przygotowań do prac wiosennych. Uczestnikom posie-

rych grup, które wypowiadały się za wyrzeczeniem się celów rewolucji. „Czas pracuje dla nas i jest czynnikiem pozwalającym na odbudowę naszych sił zbrojnych. Musimy stawić czoła elementom nie- wiary i nie zapominać, że po- bite zostały armie arabskie, lecz nie wola ludu arabskiego”.

■ Nawigując do informacji o opiniach niektórych generałów amerykańskich w sprawie użycia taktycznej bro- ni nuklearnej w Wietnamie, jugosłowiański generał Bery- slav Badurina powiedział, że użycie taktycznej broni nū- klearnej byłoby prawdopodob-



(„Handelsblatt”)

zenia zwrócono uwagę na konieczność ścisłego przestrze- gania instrukcji Mao Tse-tunga i posługiwania się nimi w przygotowaniach do przepro- wadzenia orki wiosennej.

■ Senator Fulbright złożył oświadczenie, w którym stwierdził, że wypowiedź szefa połączonych sztabów — gen. Wheelera na temat za- stosowania broni nuklearnej w Wietnamie, została mimo wszystko wrażliwa. „Je- „broń taka została użyta, gdyby było to niezbędne dla obrony Khe Sanh! Fulbright dodał, iż byłoby to katastrofą narodową, gdyby wojska ame- rykańskie w Wietnamie zna- lazły się w tak niebezpiecznej sytuacji, „że dla ich uratowa- nia konieczne byłoby użycie broni nuklearnej”.

■ W ubiegłym roku odwie- dziło Jugosławie prawie 23 mln. obcych turystów. Do- chód dewizowy wyniósł około 190 mln dolarów, czyli o 30 procent więcej niż w roku po- przednim.

■ Prezydent Izraela — Zal- man Szazar oświadczył wo- bec 70 dziennikarzy żydow- skich z 13 krajów, że Izrael nigdy nie odda Jerozolimy. Wojna w czerwcu nie jest zakończona — powiedział on — wzywając do wzmożenia żydowskiej akcji osiedleńczej w jordańskiej części Jerozolim- y. Wezwał on Żydów całego świata, aby nie zmniejszali wysiłku na rzecz poparcia dla Izraela.

■ W ciągu pierwszych dwóch lat realizacji aktual- nego planu 5-letniego gospo- darka rumuńska otrzymała około 500 nowych zakładów przemysłowych, wielkich od- działów produkcyjnych w czynnych już zakładach oraz wielkich jednostek produkcyj- nych innego rodzaju. Ich koszt wyniósł łącznie za trzy lata więcej, niż wydano na inwestycje przemysłowe w ciągu całego ubiegłego 5-lecia.

■ Prezydent ZRA — Na- ser podpisał dekrety niekto-

rych grup, które wypowiadały się za wyrzeczeniem się celów rewolucji. „Czas pracuje dla nas i jest czynnikiem pozwalającym na odbudowę naszych sił zbrojnych. Musimy stawić czoła elementom nie- wiary i nie zapominać, że po- bite zostały armie arabskie, lecz nie wola ludu arabskiego”.

■ Francuski Instytut Bada- nia Opinii Publicznej ogłosił wyniki ankiety, której jedno z pytań brzmiało: „Czy my- ślą o utrzymaniu pokoju w świecie uważając za słuszną? szę, by Niemcy pozostały po- dzielone, czy też by zostały zjednoczone?” W odpowiedzi, 40 proc. ankietowanych opo- wiedziało się za utrzymaniem podziału Niemiec, 36 proc. — za ich zjednoczeniem, zaś 24 proc. nie wyraziło swego zda- nia.

■ Wydawany w Stanach Zjednoczonych tygodnik „Sa- turday Evening Post” zamie- ścił wywiad z generałem w sta- nie spoczynku — Jamesem Gavinem, który stwierdził m. in., że po klęsce Francji w Wietnamie, w 1954 roku czołowi dowódcy amerykań- scy domagali się inwazji na Wietnam północny. Zalecano desant wojsk amerykańskich w rejonie Hajfong — Hanoi. Propozycji tej przeciwstawił się ówczesny prezydent Sta- nów Zjednoczonych, Eisenho- wer.

■ Dowódca VI Floty ame- rykańskiej w Wietnamie — wiceadmirał Martin wypowie- dził się na temat floty ra- dzieckiej na Morzu Śródziem- nym. Według opinii ame- rykańskiego wiceadmirała, ZSRR wzmościł wyraźnie liczbę swych okrętów na Morzu Śród- ziemnym od czerwca i po- siada dzisiaj flotę stanowią- cą całość wyposażoną we- wszystkie niezbędne elementy.

■ Według doniesień ku- bańskiej prasy prowincjonal- nej, kampania werbunku lud- ności miejskiej do pracy w rolnictwie weszła w nową fa- zę. Dotychczas werbunek do pracy odbywał się w formie ochotniczych wyjazdów okre- sowych w celu wzięcia udziału

hi w określonych kampaniach rolniczych i przechodzenia do pracy w rolnictwie na okres dwóch lat. Obecnie werbunek będzie miał charak- ter masowy i ma on stano- wić kolejny ważny krok w kierunku deklameracji lud- ności miast.

■ Prezydent Zambii — Kaunda oświadczył, że przez 6 godzin Zambia nie miała żadnego szefa państwa. „Wstrząśnięty straszliwie pro- wincjonalnym i plemiennym podchodem do problemów kraju — oświadczył Kaunda — podałem sobie do dymisji... Jed- nakże wobec wzrastających przemówień i leż, jakie wy- wołało moje stanowisko, zmie- niłem decyzję”.

■ W kołach Kongresu ame- rykańskiego i na łamach pra- sy wyrażane są coraz częściej opinie, iż dalsze zwiększenie liczby wojsk w Wietnamie oraz wydatków budżeto- wych związanych z wojną, jest już tylko kwestią niebzt odległego czasu. Mówi się m. in. o podniesieniu wydat- ków finansowych ustalonych w projekcie budżetu na rok 1969 z 25,8 miliarda na co najmniej 32 miliardy.

■ Izraelska organizacja pa- ramilitarna — Nahal założyła dwa dalsze obozy osiedleńcze na terytorium Syrii okupo- wanej przez Izrael. Łączna liczba obozów rolniczych Na- hału na terytorium Syrii wzrosła do pięciu.

■ Miesięcznik „Esquire” publikuje artykuł, którego autor pisze o perspektywach wybuchu w Stanach Zjedno- czonych drugiej wojny domo- wej, tym razem na tle raso- wo-politycznym. Autor artyku- lu opiera swe prognozy na rozmowach, jakie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy prze- prowadził w szeregu miast amerykańskich z przedsta- wicielami władz oraz ludności białej i kolorowej. W rozmo- wach tych wszyscy niemal poruszyli sprawę, przygotowań polizei i wojska do kolejnego „długiego, gorącego lata” oraz kwestię coraz bardziej boja- wego nastawienia organizacji murzyńskich. Pytanie — czy- tamy w artykule — nie po- lega na tym, czy w miastach dojdzie ponownie do rozru- chów, ale na tym, co zrobi- my, gdy do nich dojdzie.

■ Według relacji AFP z Pekinu, w kierowniczych ko- łach chińskich panuje niepo- kój o tegoroczne zbiory zbóż. Niepokój ten wyrażony jest m. in. w Nécie jednego z czy- telników zamieszczonym w dzienniku prowincji Szan-

tung. Czytelnik ów pisze m. in.: „Masy są zmęczone, a w dyrekcji panuje rozprze- żenie. Cała nasza komuna lu- dowa przygotowuje się do prac wiosennych, lecz nasze wysiłki pozostają bezowocne: nie zgromadzono dostatecznej ilości nawozów sztucznych, maszyny były niedostatecznie konserwowane, narzędzia nie zostały przygotowane. Główna przyczyna tego stanu rze- czy polega na tym, iż stano- wisko kadr nie odpowiada stanowisku, jakie zajmują masy. Część personelu jest nieuchwytna, boi się i uwa- ża każdą pracę za zbyt od- powiedzialną. Problemy te na- leży szybko uregulować”.

■ Prezydent Johnson — in- formuje agencja Reutersa — wystosował apel do ZSRR o nawiązanie rokowań w spra- wie ograniczenia przez USA i ZSRR produkcji ofensyw- nych i defensywnych pocis- ków rakietowych.

■ Ambasador Chile w USA ostro zaatakował politykę Wa- szyngtonu propagowania ste- rylizacji i kontroli urodzin w Ameryce Łacińskiej. Zdaniem Chilibczykła 250-milionowej Ameryki Łacińskiej nie wol- no porównywać z 400-milio- nowymi Indiami. Ameryka Łacińska jest niedoludniona i niemożność rozwiązania wie- lu problemów integracyjnych tego ogromnego obszaru wy- niika z braku, a nie z nadmiar- ru ręk do pracy.

■ Skupiona w tzw. Bens- berger Kreis, grupa postępo- wych katolików zachodniemie- ckich, postulująca uznanie realiów politycznych po dru- giej wojnie światowej, stała się przedmiotem ostrych ata- ków rewizjonistów. Szczegól- nie agresywny jest centralny organ związku przesiedleń- ców „Deutscher Ostdienst”, który pisze, że wszelkie gło- szenie rezygnacji z ziemi za Odrą i Nysą jest atakiem na politykę rządu bońskiego, któ- rego „stanowisko prawne... znalazło zrozumienie Watyka- nu”.

■ W ubiegłym roku rolni- cy NRD osiągnęli największe z dotychczasowych plonów u- zyskując średnio z hektara 31 kwintali czterech zbóż. Osiągnięcia spółdzielców NRD z zainteresowaniem śledzą rolnicy z Niemiec zachodnich którzy znajdują się w coraz trudniejszym położeniu z uwa- gi na forsowaną tam koncen- trację rolnictwa. W tej sy- tuacji rolnicy zachodniemie- ciecy korzystając z najbliż- szego przykładu NRD, zaczy- nają sami organizować minia- turowe zespoły spółdzielcze.



Dolarowa ucieczka.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Pragnąlbym na łamach Pań- skiego tygodnika odpowiedzieć na list pana K. T. zamieszco- ny w „Odgłosach” z dnia 4. II.

68 r., a przy okazji i innym osobom, które podzielają opinię pana K. T.

Na początku chciałbym spoto- wać zarzuty p. K. T., które są nieprawdziwe i nadają refe- rowanej sprawie fałszywe tło.

Gdyby pan K. T. spóźnił się do Teatru Wielkiego rzeczy- wiście tylko dwie minuty, to z powodzeniem mógłby wysłuchać uwertury do „Pana Twardo- skiego”. Przedstawienia w na- szym Teatrze rozpoczynają się o godzinie 19.05 i te właśnie pięć minut jest rezerwa czasu dla tych, którzy z obiektyw- nych przyczyn zjawili się w proach Teatru o godz. 19. We wszystkich materiałach informa- cyjnych (afisze, foldery itp.) uprzedzamy, że osoby spóźnio- ne mogą wejść na widownię do- piero w czasie pierwszej prze- rwy.

Obsługa widowni zamyka drzwi nie w chwili strólenia in- strumentów, jak sugeruje pan

K. T., lecz w momencie zjawie- nia się w orkiestrze dyrygenta prowadzącego przedstawienie. I tak jest w teatrach ope- rowych na całym świecie. Nie wiem, kto opowiadał Panu K. T. o zwyczajach panujących w La Scali, lecz ja osobiście przekonałem się, że w medio- lańskiej operze spóźnieni wido- wie nie roszą sobie prawa do szukania w ciemnościach swoich miejsc i przeszkadzania innym. Tak jest np. w Moskwie, Wie- dniu, Paryżu czy Londynie. Wi- dzowie w tamtych miastach wi- docznie szanują teatr, artystów i szanują również innych, któ- rzy oglądają początek spekta- klu. Czy wyobraża Pan sobie, Panie Redaktorze, ile listów otrzymywałby codziennie Teatr od osób, które zapłaciły po 50 złotych za bilet, i którym gro- mada spóźnialskich deptałaby po nogach i przeszkadzała w słuchaniu uwertury? (n.b. nie trzeba chyba tłumaczyć, że nie

w każdym przypadku partytura przewiduje przerwę przed po- czątkiem pierwszego aktu).

Ma rację pan K. T., że Tea- tru Wielkiego nie należy po- równywać z Dworcem Kaliskim. Ale jeżeli pan K. T. będzie traktował Teatr choćby jak dworzec na Chojnach, to na pewno nie spóźni się na żaden spektakl. Sprawę traktowania Teatru jako miejsca SZTUKI porzostawmy innym.

Z wyrazami należnego sza- cunku

mgr Stanisław Piotrowski
dyrektor Teatru Wielkiego

P. S. W celu uzupełnienia wy- jaśnienia chciałbym dodać, że od przyszłego sezonu zainsta- lowany zostanie w foyer Teatru Wielkiego monitor telewizyjny, przez który będziemy transmi- tować przedstawienie dla osób spóźnionych.

WIELKIE ZASKOCZENIE

Ofensywa zaczęła się na emmentarzach Sajgonu. Broń pochodziła z grobowców. W ostatnich dniach buddyjskiego roku kalendarzowego wybuchła w Sajgonie tajemnicza epidemia. Częściej niż zwykle ciągnęły przez stolicę korowody pogrzebowe, ale dziś już wiadomo, że pod żałobą nie kryła się rozpacz po zmarłym, lecz nienawiść do Amerykanów.

Gdy Sajgon witał Nowy Rok ogniami sztucznymi, jednocześnie w mrokach emmentarzu działy się rzeczy zaskakujące. Tajemnicze postacie otwierały stare grobowce, z rąk do rąk podawano kryjące się w nich dobrze naoliwione pistolety maszynowe i amunicję. Również i pagody oraz mieszkanie prywatnie zamienili się w prawdziwe arsenały broni, przygotowane na dzień, który potem amerykańscy sztabowcy nazwali początkiem Wielkiego Zaskoczenia. I tak na przykład pagoda An-Quang w chińskiej dzielnicy Cholon była takim arsenałem, był nim również dom nr 266 oddalony o parę budynków od głównej kwatery dowódcy wojsk USA w Wietnamie, generała Williama C. Westmorelanda.

Ledwie tylko rozdzielono broń między ludzi z czerwona opaską na ramieniu, zaczęła się bitwa, nazwana przez amerykańskiego generała Chaisson. Wielkim Zaskoczeniem, bitwą, która zepchnęła armię amerykańską w Wietnamie na sam skraj militarnej klęski i stała się kolelną klęską amerykańskiego prestiżu politycznego.

Tysiące partyzantów atakowało trzdziestą stolicę prowincjonalnych, zdobywając urzędy i fabryki, barykadując się w hotelach i zamieniając nawet najpewniejsze ośrodki amerykańskiej okupacji w pole bitwy. Tei noc w Sajgonie 19 partyzantów zaatakowało budynek ambasady USA i dopiero po wieloletnich walkach, przy użyciu helikopterów, miotaczy ognia i z własnymi ciężkimi stratami udało się wybojowym oddziałom amerykańskim odbić te placówki. W tym samym czasie inna grupa partyzantów zdobyła i obsadziła budynek radiowy, a lotnisko w Sajgonie, najbardziej niewrażliwe miejsce tej wojny, znalazło się pod bezpośrednim ostrzałem partyzanckich rakiet.

Żadne miejsce w Sajgonie i w całym południowym Wietnamie nie było tej nocy bezpieczne dla Amerykanów. Generał Westmoreland po panicznej ucieczce schronił się do specjalnego bunkra bez okien, a poseł amerykański Ellsworth skrył się w willi znajomych na przedmieściu Sajgonu. W Dalat kwatery główna amerykańskiej policji wojskowej przemieniła się w eniazdo oporu partyzanckiego. W Pleiku Vietcong zdobył budynek rządowy i zamienił go w cytadelę oporu. A nad cytadelą starej cesarskiej stolicy Hue zawisł czerwono-błękitny sztandar rewolucji. Kanadyjski przedstawiciel międzynarodowej komisji kontrolnej pod koniec tego tygodnia powiedział, że na pewno ciężko bombardowane Hanoi stało się miastem bezpieczniejszym od Sajgonu. Pewien wysoki oficer amerykański powiedział korespondentowi nowojorskiej gazety, że chciałby mieć takich sojuszników, jak „Charlie” (jest to pogardliwa nazwa nadawana partyzantom przez Amerykanów). Wydarzenia tych dni wykazały, że partyzant wietnamski jest zapewne w chwili obecnej jednym z najlepszych żołnierzy świata, że jego taktyka walki stawia olbrzymią maszynę wojenną Ameryki wobec wciąż nowych i zawsze zaskakujących faktów.

I chociaż półmilionowa amerykańska armia w krwawych walkach ulicznych zmusiła partyzantów Vietcongu do wycofania się z wielu barykad, przecież istotnym zwycięzcą tej ofensywy był właśnie Vietcong, który zmusił polityków i generałów amerykańskich do wycofania się ze swych optymistycznych deklaracji.

W miastach Wietnamu, w których uciechły strzały, życie już nie wróciło do poprzedniej, okupacyjnej normy. Teraz po siódmej wieczorem w Sajgonie można już tylko zginać, bowiem od tej godziny stolica Wietnamu południowego zrodnie z rockiem generała Westmorelanda zmieniła się w

„free strike zone” i Amerykanie strzelają bez ostrzeżenia do wszystkiego co się porusza. Chaos i zupełny rozkład aparatu administracyjnego reżimu saigonskiego charakteryzuje fakt, że na pocztę głównej leża dziesiątki tysięcy nie roznieśionych telegramów. Całe miasto zawalone jest rozkładającymi się odpadkami. Trup zabitych sychane sa buldożerami do masowych grobów.

Po ciężkich doświadczeniach ostatnich dni Amerykanie nawet zapraszanych na konferencje prasowe dziennikarzy wielokrotnie widują przed wpuśzczeniem do gmachu ambasady, a potem następuje zawężenie jednej z takich konferencji prasowych, jakie opisał redaktor zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel”:

„Informacje bywają obecnie zazwyczaj upiorne. Podczas, gdy Ameryka ledwie o parę ulic stąd przegrywa jakąś bitwę, w Waszyngtonie rozważała czy nie grozić fortu Khe Sanh bronią nuklearną, dziennikarze tzw. wolnego świata, dowiadują się z ust generała i towarzyszącego mu pułkownika, że:

■ w łączym bez mała trzy miliony ludności Sajgonie rozdzielono na raz pierwszy od 28 stycznia 160 ton ryżu;

■ wobec poprawy sytuacji militarnej godzinie policjanci przesunęli z 14 na 15; ■ policja wietnamska zdobyła wczoraj parę granatów przeciwzwojowych i jeden pistolet maszynowy;

■ po raz pierwszy od 29 stycznia w tym straszliwym południowym klimacie, zorganizowano uprzątnię śmieci ulicznych za pomocą siedemnastu samochodów.

Na około 60 pytań dziennikarzy, dziś przeszło 50 pozostało bez odpowiedzi. Generał i pułkownik milczą na temat strat ludności cywilnej, nie chcą udzielać wyjaśnień na temat nieudolności dowództwa południowowietnamskiego, oczywiście, ani słowa też i o okrucieństwach popełnianych na każdym kroku. Za to potrafią wyliczyć natychmiast i bez zastanowienia, że w walkach ofensywnych, zwanej tu Wielkim Zaskoczeniem, zginęło 24.662 partyzantów. Ale każdy z uczestników tej konferencji wie, że dane pana generała są czterokrotnie wyższe niż rzeczywistość. I wszystko to dzieje się w tym czasie, gdy do wtóru ulicznej strzelaniny dołącza się potężna kanonada na północy, gdzie w okraźnym Khe Sanh czeka może Amerykanów ich własne Dien Bien Fu.



Bohaterstwo dramaty paradoksy

W grudniu 1967 roku generał Westmoreland oświadczył: „Zwyćwieści dla nas koniec tej wojny już się zbliża, już go widzimy...”

Armia amerykańska w Wietnamie liczy ponad 500.000 ludzi, jej siła ogniova jest osiem razy większa niż w czasie wojny koreańskiej. Wspiera ją wielka armia reżimowa i oddziały sojuszników.

Wg danych ujawnionych przez gen. Siddle ze sztabu Westmorelanda w listopadzie 1967 roku walczyło po stronie Vietcongu:

■ 118.000 partyzantów w zwartych oddziałach bojowych;

■ 90.000 partyzantów walczących w luźnych grupach;

■ 40.000 pracowników zaopatrzenia i tłów.

„Współczesna wojna to przede wszystkim możliwość błyskawicznego manewru. Współczesny manewr w sensie strategicznym i taktycznym, to przede wszystkim samochody i samoloty. Vietcong ich nie posiada, czy jest więc zdolny do szybkiego manewru?”

McNamara

Reżim saigonski płaci swym rekrutom, oczywiście z kasy

USA, około 58 dolarów miesięcznie.

Zold partyzanta wynosi miesięcznie ledwie dolara.

Armia reżimowa cierpi na zupełny brak zaciągu ochotniczego.

Napiływ ochotników do partyzantki jest tak wielki, że w końcu roku 1967 obowiązywała zastrzeżona zasada selekcji i w tym kraju mężczyźni niskiego wzrostu nie przyjmowano np. ochotników o wzroście mniejszym niż 1,47 m.

Wiecej niż połowa broni, od której w Wietnamie ginie żołnierz amerykański, została przez Vietcong zdobytą na Amerykanach lub wyprodukowaną w prymitywnych partyzanckich warsztatach.”

Richard J. Barnett był doradcą prez. Kennedy'ego

„Gdy dochodzi do walki między tygrysem a słoniem, tygrys nie może pozostać w bezruchu ani na moment, bowiem słon natychmiast przebieże ko wledek klami. Tygrys musi nieustannie atakować, doskakiwać, zadawać rany i natychmiast cofać się — poki słon nie zginie z upływu krwi. Nie chodzi więc o stosunek sił, ważna jest wola walki!”

Ho Chi Minh

„Musimy bardzo uważać na lotników południowowietnamskich. Gdy mają oni bombardować obiekty broniące przez artylerię p.-lot. najczęściej ze strachu zrzucają bomby na własne południowe wioski!”

Wypowiedź pewnego lotnika amerykańskiego

Pieć partyzantów uszyło z worków na makę i noszą często napis „Dar Narodu Amerykańskiego”. Ich niezbędne w dżungli hamaki, stanowiące zarazem rodzaj neleru, uszyte są z amerykańskich zdobytych spadochronów.

Pewien generał reżimowy zupełnie poważnie twierdzi, że należy użyć w walce z partyzantami środków ucypiających. Jak to zrobić? Należy zaprosić partyzantów na uczie, doswać im do jedzenia owe środki, a gdy zasną — rozbroić.

Z relacji tygodnika „Der Spiegel”

„Wróg nigdy nie osiągnie sukcesów w Wietnamie, my, Amerykanie, nigdy nie ustąpimy...”

Lyndon B. Johnson

„W Tygodniu Zaskoczenia Vietcong wywalczył nowe znakomite polityczne zwycięstwo: dostarczył dowodu, że może atakować kiedy chce i gdzie chce.”

Senator Edward Kennedy

Amerykańscy szefowie sztabu są pewni — jak twierdzi rzecznik ambasady USA w Sajgonie — że baza w Khe Sanh nie stanie się drugim Dien Bien Fu. Co więcej: generał Westmoreland wymógł na swych szefach sztabu stwierdzenie na imię, że baza ta w żadnym wypadku nie zostanie zdobyta przez Wietnamszczyków. Takie właśnie deklaracji na imię domagał się od niego prezydent Johnson. Prezydent ma, oczywiście, pełne zaufanie do swych dowódców wojskowych w Wietnamie. Otrzymawszy pismem na gwarancję, Johnson następną rozmowę telefoniczną z Westmorelandem zaczął od zdania, które obiegło potem całą prasę światową: — Żeby mi tylko nie doszło tam u was do jakiegoś nowego, przekładowego, Dien Bien Fu!

W rozmowach oficjalnych generałowie amerykańscy wymieniają liczbę 25.000 zabitych partyzantów Vietcongu w czasie walk ulicznych tygodnia Wielkiego Zaskoczenia. W prywatnych rozmowach, przyznają jednak, że zdobyli tylko około 5.000 sztuk broni palnej i wniosek z zestawienia tych cyfr jest prosty: tylko tylu partyzantów zginęło, a generałowie doliczyli do tego około 20.000 zabitych cywilów. Ale jakże możemy od nich wymagać, by przyznali się, że straty armii amerykańskiej i reżimowej są wyższe od strat atakującego Vietcongu?

Z relacji tygodnika „Der Spiegel”

„Popadam w rozpacz, gdy pomyślę, że życie tysięcy młodych Amerykanów zależy od ludzi mentalności generała Westmorelanda.”

Arthur Schlesinger był doradcą prezydenta Kennedy'ego

Nożycami przez prasę

UNIwersYTETY I SZKOŁY WYŻSZE

Jak dotychczas, kształcił się jednakoowo tych, którzy zostali specjalistami pracującymi zawodowo, jak i tych, których można nazwać pracownikami działalności twórczej, uczonymi in spe.

Inaczej się wyrażając, nasze uniwersytety i szkoły wyższe cechuje rozrzućny system szkolenia. A chodzi przecież o „dobre” dostosowanie struktury kształcenia do potrzeb kraju.

System szkolenia plus przypadkowość rekrutacji na studia wyższe powodują, że absowenci wyższych uczelni nie najlepiej odpowiadają wymaganiom wynikającym z potrzeb społecznych w odniesieniu do dwóch różnych grup działalności — zawodowej i twórczej.

Z propozycją dokonania zasadniczych reform wystąpił na łamach „Polityki” przez Aka-

demii Nauk, prof. Janusz Grosz kowski. Autor postuluje ściśle powiązanie szkół wyższych i uniwersytetów, przy czym:

Szkołami wyższymi nazwiemy szkoły kształcące pracowników działalności zawodowej, stanowiących przytaczający procent wszystkich pracowników z wyższym wykształceniem. Szkoły te tworzą się w zasadzie na podstawie już istniejących szkół wyższych takich jak: politechniki (z Akademią Górniczo-Hutniczą), akademie medyczne, wyższe szkoły rolnicze, ekonomiczne, pedagogiczne, artystyczne itp., jak również z niektórych wydziałów uniwersytetów. Są one uzupełniane nowymi szkołami wyższymi nie mającymi odpowiedników w istniejących.

A uniwersytety? Rola uniwersytetu w nowej strukturze szkolnictwa wyższego byłaby dwójaka. Po pierwsze, wywieranie wpływu — w szerokim znaczeniu — na całość studiów wyższych w danym regio-

nie. Po drugie, prowadzenie studiów uniwersyteckich w danym regionie w celu kształcenia pracowników działalności twórczej.

NASZE BIBLIOTEKI

Z okazji pięćdziesięciolecia tak zwanego dla kultury polskiej Stowarzyszenia Bibliotekarzy i „Wi Zjazdu” — „Współczesność” przyniosła duży artykuł poświęcony sprawom bibliotek. I w tej dziedzinie trudno zadowolić się aktualną sytuacją, mimo iż dokonano tak wiele.

W ciągu dwudziestu lat od wydania dekretu przybyło w kraju przeszło 40 tysięcy bibliotek, a zbiory ich powiększyły się o około 157 milionów woluminów.

W latach 1956—1966 liczba ludności wzrosła o 2,7 miliona, czyli o 9,6 proc. W tym samym dziesięcioleciu okresie przybyło w kraju przeszło 13.000 bibliotek (wzrost o 33 proc.), zbiory biblioteczne powiększyły się o ok. 92 miliony woluminów (115 proc. wzrostu), liczba czytelników zarejestrowanych w bibliotekach wzrosła o przeszło 7 milionów (o 91 proc.), a liczba dokonanych przez nich wypożyczeń o 115 milionów, tj. podwoiła się i doszła do 283 milionów wypożyczeń w 1966 r. Analizując aktualną sytuację, Czesław Kozioł stawia kilka pytań zasadniczych.

Czy posiadając już ponad 50

tysięcy bibliotek różnych typów, dysponujących ok. 180 milionami książek, możemy stwierdzić, że spełnione zostało wyrażone w dekreście o bibliotekach życzenie ustawodawcy, by każdy obywatel mógł korzystać ze zbiorów bibliotecznych całego kraju? Czy biblioteki na szczeblach wojewódzkich, powiatowych, gminnych, są w pełni potrzebne i gospodarczo ludności w zakresie czytelnictwa książek i czasopiśm, potrzeby nesterabilne przecież, ale rosnące i różniące się stale wraz z podnoszeniem poziomu wykształcenia społeczeństwa, z różnicowaniem się zawodów i specjalności? Czy więcej jest dziedzin działalności wymagających przygotowania teoretycznego, śledzenia nowych technik i metod działania.

Żeby móc odpowiedzieć na te pytania w sposób najskromniej zadowalający, należy szukać — i to pilnie, choć sprawa skomplikowana, wymagająca wielkich wysiłków i nakładów — nowych, współczesnych rozwiązań. Chodzi m. in. o koordynację zakupów, o międzybiblioteczne wymianie zbiorów, o taką organizację życia bibliotecznego, by każdy zainteresowany mógł otrzymać potrzebną mu książkę — czy reprodukcję potrzebnego tekstu — choć nie ma go w jego miejscu zamieszkania. A ponieważ nie zawsze wystarcza współpraca bibliotek krajowych, dla przykładu państwa skandynawskie zawarły międzynarodowe porozumienie

w tej dziedzinie. „Coraz częściej — czytamy we „Współczesności” — mówi się o potrzebie takiej współpracy między krajami socjalistycznymi”.

GRZECH GŁÓWNY: NIECZYSTOŚĆ

J. P. Gawlik w „Życiu Literackim” nie sięga po przykłady drastyczne, świadczące o sarniarniach, o stanie wielu pomieszczeń, w których rezydują różne instytucje i nawet domy kultury. Wybiera przykład przydeiny: dom kultury nie tak dawno oddany do użytku w jednym z powiatowych miast województwa krakowskiego. Jak przedkio niechujstwo, nieczystość, nieochodstwo stało się jego integralną cechą — „powietrzem”.

I snuje rozważania na temat lekceważenia czystości w naszym życiu codziennym. Wandalizm w stosunku do urządzeń, przedmiotów, ścian.

Same etaty sprzątaczek, nawet wystarczające, nie zawsze robią pogodę. Chodzi o zjawisko głębsze — o obyczaj, o stosunek do własności wszystkich użytkowników obiektu.

Nasza, bo nie rozumiemy. Nasza, bo im się wydaje, że działają na szkodę abstrakcyjnego właściciela: nie zdają sobie sprawy, że uzcuplają lub degradują równocześnie własny stan posiadania.

Byłoby obserwacją dostarcza wie lu przykładów.

Grzeszywny zbyt często i może zbyt łatwo, ponieważ ideał czystości i ładu, tak ściśle związany nie tylko z osobistymi skłonnościami człowieka, ale i z właściwościami wielu starych, tradycyjnych kultur nie został w od powiednim czasie przyswojony i uświadomiony z socjalizmem. Przeciwnie, ulugi chaosowi wielkich przeobrażeń. Został przez potężne ruchy tektoniczne w strukturze społeczeństwa przytłoczony i zatarty, zmuszając nas teraz do pilnej rekonstrukcji.

Przyczyny należy również dopatrywać się w swoistym lenistwie. Szeroko bowiem można interpretować powiedzenie Norwida: „grzeszność kosztowała ludzi wielki pracy...”. Tak jest, Staniem kiedyś przed wejściem do secesyjnej młiej pijalni wód w Krynicy. Na dwa dziesięcia kolejno wchodzących osób, często wale elegancjach, tylko trzy przytrzymały za sobą luźne skrzydło drzwi wejściowych!

Ostatni premier przedwojenny, Stawoj-Skladkowski, kojarzy się ze sławkami. Sztydzo no z niego, że zmuszał wieś do budowania wygód, że odbywał nagłe inspekcje w terenie. A właśnie może tylko ta jedna jego pasja — pasja lektury z wykształcenia, organizatora służby sanitarnej Legionów — zasługiwała na uznanie i szacunek.

JAN OLECHINO

Centrum dies ante maturitatem

Są zapewne ważniejsze uroczystości, ot, chociażby bale maturalne i coroczne zabawy świeżo upieczonych studentów. Ale studniówki mają szczególną atmosferę.

Na balach maturalnych zanika dystans pomiędzy uczącym i nauczonym. Na studniówkach dystans ten jest największy. Na balach maturalnych można już w zasadzie popijać wino, palić papierosy. Na studniówkach też można, ale pod kryjomy, w kwaterze, w kwaterze, w kwaterze, albo, jeszcze lepiej, w ustępie. Na bal maturalny, czy zabawę pierwszorocznych studentów — każdy przechodzi z kim mu się żywnie podobą i w jakim chce stroju; dajmy na to — w spódnicy i sukience, co się nie przechodzi; strój obowiązujący raczej jednolity, co się zaś tyczy towarzystwa spoza szkoły, to niektóre dowcipne dyrektorki rozwiązują problem doboru w sposób szybki i radykalny; na przykład: zamawiają dla swojego żeńskiego liceum stu dwudziestu chłopów z pierwszego roku Politechniki albo WAM (ci przychodzą z surowym opiekunem — przyzwolanką) i te doborowe oddziały kojarzone są na przebieg kilku godzin w pary z rojem skromnie ubranych uczennic, z których każda, no, prawie każda, wypłakuje oczy za swoim prawdziwym ukochanym.

Na balach maturalnych orkiestra gra nostalgiczne bostony i absolwenci wirują na parkiecie w poczuć szczęścia, bezpieczeństwa i spokoju.

Jakże inaczej jest na studniówce. Niejeden kandydat do świadectwa dojrzałości tańczy z balastem tych czterech, nawet pięciu dwoj na półroczu, z głową ciężką od ponurych myśli, meta blisko, a on się czuje słabo na finiszu; więc teraz w tańcu uważa na każdy swój ruch; o! z boku patrzy na niego pan z komitetu rodzicielskiego; niby nie, ale ten pan może więcej niż się pozornie wydaje; trzeba uważać, nie przytulać się za bardzo, nie swawolić.

Atmosfera na studniówkach jest nerwowa. Nie tylko tych z dwójkami dręczą niepokoje. Niespokojni są także dobrzy uczniowie, tkwiący w przeświadczeniu, że los, jeśli chce, potrafi być złośliwy. Niespokojni są niekiedy rodzice i niekiedy nauczyciele; zbliżająca się szybko matura też będzie sprawdzianem ich pracy.

1.

Oto jestem na studniówce w XXX Liceum Ogólnokształcącym im. Janka Krasickiego. Bałuty. Dalekie peryferia, na

których budoje się teraz piękne i wysokie domy, i które z powodzeniem mogą konkurować z innymi nowoczesnymi dzielnicami Łodzi. Tę szkołę otaczają jeszcze stare, wystalone czyszczówki, owe relikty legendarnych Bałut. Ale ta szkoła, to już są nowe Bałuty. Nie! Budynek od zewnątrz wygląda skromnie. Zaden skokujący cud architektury; w miejscu jest co najmniej parędziesiąt ładniejszych budynków — o szerszych oknach, przestronniejszych korytarzach i lepszym zapachu sanitarnym. Tu nie chodzi o budynek. Tu chodzi o młodzież, nowe pokolenie dobiegające właśnie progu dojrzałości.

Mam pewną skalę porównań. Jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej poznałem kilka szkół bałuckich. Wynosiem z tego okresu dość ponury obraz bezczelnych i umorusanych wyrostków, dla których nauka ograniczała się zwykle do niszczenia szkolnego sprzętu i kopania piłki, przekleństw, palenia papierosów i obrzucania kamieniami przechodniów z ulicy. Jest mo że poważna doza ryzyka w tym uogólnieniu. Ale przypomnijcie sobie sami Bałuty sprzed piętnastu lat; zażyczyście do kronik milicyjnych, do statystyk... Była to dzielnica, którą rządził strach, w szkołach tej dzielnicy niejedną nau czyciel oberwał od ucznia; już sama obecność szkół wydawała się tu dużym nieporozumieniem — choć mamy tę świadomość, że właśnie nauka zmienia i kształtuje charaktery. Była to młodzież bezradnie zaniedbana, wypaczona, podejmuje ją z upodobaniem niechlubne tradycje ojców i dziadów...

I jestem teraz, po kilkunastu latach, w jednej z bałuckich szkół. Jak wielkie zmiany tu zmiana! Dorodne, zdrowe pokolenie. Rzecz jasna — nie każdy z tych młodych ludzi urodził się na Bałutach. Wielu zapewne przywędrowało tu z rodzicami z innych dzielnic, z chwilą, kiedy na Bałutach zaczęły powstawać nowe osiedla, nowy przemysł i otworzyły się szerokie perspektywy. Ale fakt zostaje faktem, że model przeciętnej mieszkanki Bałut zmienił się. — Socjologia zadaniem ustalić, jaka była te go maszynieria, jak poprzez rozwój przemysłu i budownictwa — nastąpiła ta zdecydowana i nieodwracalna zmiana w świadomości człowieka.

Ciekawy jest skład socjalny uczniów szkoły im. Janka Krasickiego. Dzieci inżynierów, majstrów, lekarzy, adwokatów, robotników i rzemieślników zarejestrowane są na kartach każdego dziennika.

2.

Wróćmy na zabawę. Przez sale i korytarze wije się gi-

gantyczny stół. Na ścianach w całej gamie kolorów — wstęgi, wycinanki i napisy — jedne dowcipne, inne trochę mniej, a wszystkie dopingują do nauki. — „Po czterech latach wytrwałości, za sto dni egzamin dojrzałości!” — głosi plansza w głównej sali. Dyrektor szkoły, mgr Halina Matulowa, wznosi musującą orandaż toast za pomyślne egzaminy — tu w Liceum, — i tam — na wyższych uczelniach. Przemawia delegat młodzieży; z całą wzruszającą naiwnością — dziękuję nauczycielom za trud i życzliwość podczas tych czterech lat nauki, kiedy to — jak powiada — była to różnie. Podniosła mowę wygłasza przedstawiciel studentów, odbywający staż w klasie historycznej, mgr Krystyna Kamińska: „Uczcie się, moi kochani, to może za parę lat przypadnie wam w udziale (tak jak mnie!) zaszczyt zaliczenia w tej szkole uniwersyteckiej praktyki!”.

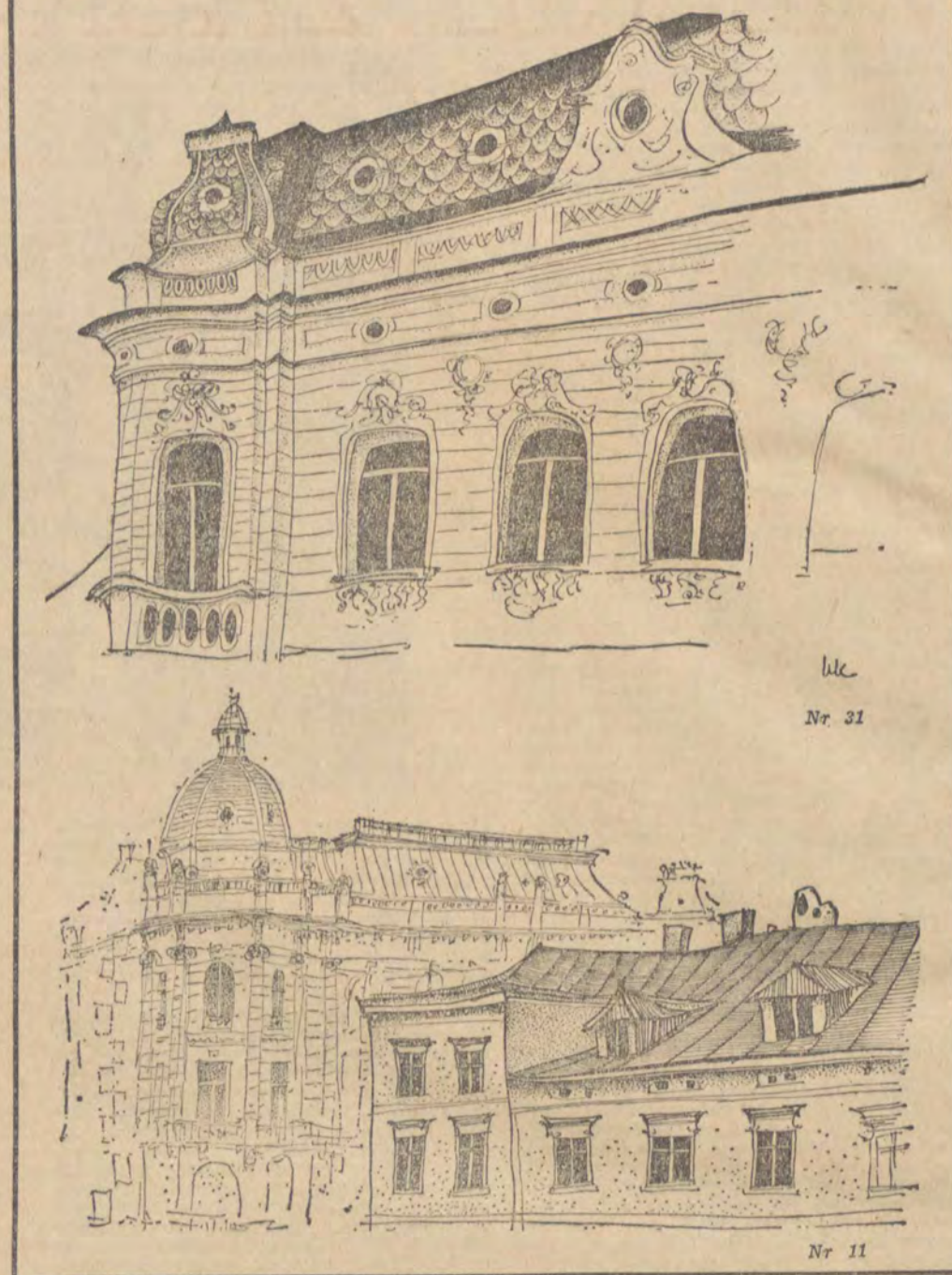
Przed jedenastą stoły pustoszą i zaludnia się sala gimnastyczna, suto udekorowana i nastrojowo oświetlona z góry łagodnym światłem lampionów. Tusz orkiestry, dramatyczne solo perkusisty i zaczyna się tańce; z początku nieśmiało, skromnie, z czasem przybierają na ekspresji. W przerwach, kiedy zawodowi muzycy wychodzą odpocząć za kurtynę, produkuje się szkolny zespół „Pigazy” — trzy elektryczne gitary, bęben i refrenistka. Jest to uzasadniona duma szkoły. Jak powiada mgr Kamińska: sami nauczyli się grać, śpiewać i obchodzić ze skomplikowaną aparaturą, która czasami złośliwie wysiada. Grają rzeczywiście nieźle, z pewnym smakiem, kulturą. Ale dla mnie ważniejszy od ich talentów muzycznych jest inny aspekt sprawy — te instrumenty, piękne, lśniące masą perłową, każdy wartości kilku tysięcy złotych. Pamiętam, że kiedy chodziliśmy do liceum, też było w mojej klasie kilku zagorzałych wielbicieli muzyki. Postanowili zorganizować orkiestrę i zamiar ten wcielili w życie: trzech śpiewało, czwarty uderzał ełkierą w krzesło imitujące odgłosy tam-tamu, jeszcze inny przygrywał na dyshawicznej, dwurzędowej harmonii, która dostała w spadku po swoim dziadku-nieboszczyku; o prawdziwym instrumencie z rodziny jazzowych nikt nie marzył.

Skoło jesteśmy przy wspomnieniach, to muszę powiedzieć, że za moich szkolnych lat łatwiej było odróżnić profesora od ucznia. Stare, zastępowe kadry nauczycielskie wykazywały się ze szczerem. Ich miejsca zajęła w poważnym stopniu pedagogiczna młodzież, która podlegała tej samej modzie, tym samym wpływom językowym, co ich wychowankowie. W Liceum im. Janka Krasickiego widać to aż nadto wyraźnie. Uczeń nosi podobne strojejony garnitur jak nauczyciel, uczennice holdują mini-modzie z takim samym umiarem, co nauczycielki młodsze roczniki. I dlatego właśnie trudno czasami odgadnąć, kto się bawi, kogo uroczu w tańcu w rytm natrzącywej big-beatowej muzyki.

I cokolwiek na ten temat pomyśleć, mnie się to zaspianie przepaści pomiędzy uc-

Z teki Wacława Kondka

Ulica Piotrkowska



nem a profesorem, podoba. Na balowej sali wszyscy jesteśmy sobie równi.

3.

Ale nim jeszcze perkusista zrobił wstęp do pierwszego tańca, nim profesorowie, uczniowie i rodzice pomieszczyli się na sali — odbyła się mała część artystyczna, zagajona krótko przez mgr Halinę Matulową. I wówczas to właśnie mogłem się przekonać, że w bałuckim liceum znajduje się, co najmniej raz w roku, pół godziny na parę krytycznych i publicznych słów ucznia o swoim wychowawcy. Rzecz — wydawałoby się — ryzykowna i śliska odbijać w zwierciadle satyry śmieszności i ulomności profesorów. W moich czasach coś takiego było nie do pomyślenia. Sami siebie mogliśmy najwyżej „ośmieszać” w gazetce klasowej — a to, że ktoś nosi za wąskie spodnie, albo zbyt długie włosy,

że Marczak ciągle się spóźnia, a Masłowski lepi się od brudu. W bałuckiej szkole rolę się zamienili: obok samokrytyki (opartej zresztą na bardzo udanym ekstrakcie szkolnych zagrywek i wybryków) znalazły się portrety złośliwej — i jednocześnie „potrafiące nauczyć” — chemiczki, roztargnionego rusycysty („No, uciekajcie z klasy, bo wam zalewajka ostygnie!”) i nauczyciel pewnego obcego języka. Nikt się na szczęście nie obraził, i o północy zabawa rozkręciła się na dobre, pozwalając zapomnieć wszelkie urazy.

4.

Liceum im. Janka Krasickiego nie jest żadnym wybrykiem natury. A więc są uczniowie popalający po kątach papierosy i wagarujący. Tu, na studniówce, wśród kandydatów do świadectwa dojrzałości, niejeden tańczy z ciężkim bagażem dwoj — cierpi

z tego powodu na nieśmiałość, albo też z desperacją idzie w bój, prosząc do tańca coraz to inną swoją pogromczynię z lekcji. Tu na studniówce, jak się niektórym zdaje, dużo można załatwić poprzez wdzięk, układność, nienaganny strój.

Szkoła im. J. Krasickiego — to dobra szkoła.

Ale nawet w dobrej szkole studniówka nie jest beztróską zabawą — jak bal maturalny czy piasy świeżo upieczonych studentów.

Wszystko jest jeszcze przed nimi. Mają świadomość szybko upływającego czasu i świadomość celu, do którego dążą, który niejednokrotnie rozstrzyga o całym życiu człowieka.

Wszystko jest przed nimi. I pamiętają o tym nawet na balowej sali, w czasie krótkiego zawieszenia broni.

Poligłoci i moda na język polski

Dalszy ciąg ze str. 1

— Jak długo uczy się pan jednego języka?

— Od dziesięciu dni do trzech miesięcy. Najwięcej czasu straciłem na angielski i francuski, Turckiego natomiast uczyłem się tylko dziesięć dni.

— Czy jest pan lingwista?

— Nie, studiuję geografie. W MGU. Języki obce są mi potrzebne do czytania literatury naukowej. A przecież wiemy o tym wszyscy, że bez znajomości przynajmniej dwóch głównych języków europejskich trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek z nas zajmując się nauką, literaturą, działalnością polityczną czy też dziennikarstwem, mógł jako „niemy” coś zrobić w jakiegokolwiek z wymienionych dziedzin, aby mógł wyjść poza ten straszny przedział, który ludzie zwykli określać upokarzającym słowem — przeciętny. A ja... nie mam żadnych wyjątkowych zdolności lingwistycznych.

— Na czym więc polega pański system?

— Przede wszystkim słucham tekstów i od razu próbuję rozmawiać.

Z dalszej rozmowy dowiadujemy się, że odpowiada mu sposób stosowany niegdyś przez niemieckiego archeologa Henryka Schliemana: kiedy w czasie przeprowadzanych prac wykopaliskowych na terenie Troi Schliemanowi potrzebny był język starogrecki, uczył

się go, równolegle czytał teksty niemieckie i starogreckie. Równoległe czytanie pomaga szybciej przyswoić specyfikę każdego obcego języka. A potem już tylko dogłębie ćwiczenie się... Obecnie Eugeniusz Nikolajew uczy się rumuńskiego i szwedzkiego.

Naturalnie, nie umniejszając zasług naszego radzieckiego rozmówcy, należy dodać, że dużo łatwiejsze jest bierno opanowanie kilku języków niż czynne opanowanie jednego czy dwóch języków obcych. W dodatku do czytania literatury naukowej wystarczy już trzy tysiące słów języka obcego, podczas gdy do czytania literatury pięknej (nie mówiąc już o poezji, która obok wieloznaczności jest także bogata w stronę muzyczną słowa) należy znać przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy słów, nie licząc idiomów bez których żaden artykułowany nowoczesny język obyć się nie może.

Znajomość języków obcych i dawnymi czasy bardzo wysoko była ceniona przez ludzi. „Ile języków znasz — tyle razy jesteś człowiekiem” — mawiali starożytni Rzymianie.

A historia zapisała wiele nazwisk poligłotów, ludzi, którzy znali dziesiątki, a nawet setki języków obcych: Duńczyk Rasmus Christian Rask (1787—1832) językoznawca — znał 230 języków; sto czterdzięci — nasz rodak, profesor Uniwersytetu Lwowskiego Andrzej Gawroński (1885—1927); osiemdziesiąt — wspomniany już niemiecki archeolog Henryk Schlieman (1882—1890); ponad sześćdziesiąt — ukraiński uczonec, orientalista i pisarz Ahatanhel Krymski. Urodził się on we Włodzimierzu na Wołyniu w styczniu 1871 roku w rodzinie nauczyciela historii i geografii. Matka jego była Polką, a ojciec Białorusinem. Krymski gimnazjum ukończył w Kijowie, orientalistykę zaś na uniwersytecie w Moskwie, potem wyjechał na studia do Syrii, gdzie doskonale opanował język arabski. W 1900 roku zostaje mianowany profesorem uniwersytetu moskiewskiego. W tym czasie przyjaźnił się z Maksymem Gorkim i Niemirowiczem Danczenko. Po rewolucji 1917 roku

przenosi się do Kijowa i tam organizuje Ukraińską Akademię Nauk. Publikuje wiele prac naukowych m. in. „Historie ukraińskiej literatury”, monografię o Tarasie Szewczenko. Przygotował także do druku 20 tomów dzieł Iwana Franko. Pisał również wiersze i wiele tłumaczył z arabskiego. Podczas wojny w 1941 roku zmarł w drodze podczas ewakuacji i nikt nie wie, gdzie został pochowany. Do dziś trwają poszukiwania grobu tego wielkiego uczonego i pisarza. A oto jedna z anegdot, czy też prawda, jakie opowiada się o nim na Ukrainie:

Podczas pewnej uroczystości w auli uniwersytetu kijowskiego zebrali się wielu wybitnych przedstawicieli ze świata nauki, sztuki... Jak się należało spodziewać, przemówienie inauguracyjne wygłaszał prof. Krymski, który początkowo mówił po ukraińsku, potem, sam nie wiedząc o tym, przeszedł na arabski, na angielski, francuski, perski, by wreszcie zakończyć to przemówienie po polsku. Wszyscy bili mu brawo, ale nie wszyscy wiedzieli o czym tak długo i z taką pasją mówił sędziwy profesor.

Z wybitniejszych poligłotów należy wymienić także kardynała Mezzofanti (1771—1848), który opanował siedemdziesiąt języków przy czym pięćdziesięciu czterema językami posługiwał się z taką swobodą, jak swym ojczystym włoskim...

Znajomość języków obcych z dawien dawna uważana była za nieodłączny atrybut duchowej kultury człowieka. Zachowały się dowody na to, że jeszcze cesarz Mitrząd Pontyjski, który żył w III wieku przed naszą erą, znał dwadzieścia różnych języków. Kijowski książę Włodzimierz Monomach pisał w swoim „Pouczeniu”: „Co znać dobrego, tego nie zapominajcie, a czego nie wiecie — uczcie się, jak mój ojciec, przebywający w domu znał pięć języków, od czego tylko honor wielki w obcych krajach”. Kilka języków obcych znał również wybitny dowódca ukraiński — Bohdan Chmielnicki.

Wysoko cenili znajomość języków obcych teoretycy komunizmu, i tak np. K. Marks znał dwadzieścia języ-

Przytułek dobrej nadziei

Dalszy ciąg ze str. 1

władz carskich ród właśnie był podupadł, majątek skonfiskowano a dziadek stanął przed plutonem egzekucyjnym. Jaką rolę w tym upadku szlachectwa miał odegrać także krawiec, pan Wielichowski, ale szczególnie „Babcia” nie zna, bo matka odumierała ją wcześniej, zanim dziewczynka ukończyła lat dziesięć.

— „Teraz herby pokasowano, to i dobrze” — zwierza się nieoczekiwanie, rada, że przemiany społeczne oddziaływały jej pamięć z jednego przynajmniej szczegółu.

Było ich, rodzeństwa, pięcioro i po śmierci matki rozjechali się na różne strony po krewnych, bo krawiec Wielichowski rozglądał się za nowym ożenkiem, a dzieci mogły udaremnić te plany. Marię, bo takie imię otrzymała „Babcia” na chrzcie, zawieziono do Chodakowa, nieopodal Sochaczewa, gdzie jedna z ciotek prowadziła młyn. Dwie siostry „Babci” znalazły schronienie u krewnych w Warszawie, tym się poszczęściło, a bracia zmarowali się w Koninie, pomarli. Ona sama też nie miała szczęścia, ciotka nie szczydziła jej roboty, nie jadła w tym Chodakowie chleba za darmo. Do szkoły nie chodziła, ale w cztery lata zdobyła taką wiedzę o życiu, że zbuntowała się i uciekła do Łodzi, która zyskiwała w tym czasie sławę Ziemi Obiecanej. W ten sposób jako czternastoletnia dziewczynka zamieszkała w domach rodzinnych na ulicy Ogrodowej i przestąpiła bramę zakładów Poznańskiego. Dostała robotę w przedalini, przy flajerach, z pensją 4 ruble tygodniowo. Pracowała czternaście godzin dziennie.

Za te pieniądze z trudem można było oszukiwać głód, a „Babcia” była przeciw wstępnemu, marzyła, żeby się dobrze ubrać, sporo oczekiwała od życia. Próbowała więc także kariery tancerki, a kiedy spotkała ją zawód, wzięła się za handel. Żydowskie tandenciarze dawali jej na kredyt perkaliki, które oferowała znajomym robotnikom, regulowały należność przy wypłacie. Miała od tych transakcji prowizję i zdawało jej się, że nareszcie mocno stanęła na nogach. Zainteresował się nią wtedy Józef Pięta, robotnik fabryki Poznańskiego. Miała dwadzieścia lat, on dwadzieścia cztery. W 1886 wzięli ślub.

Na weselu przyjechał z Konina ojciec i jedena z siostr, z Warszawy. Nie przywieźli prezentów, bo nie było tego wtedy w zwyczaju.

To oddawanie biografii „Babci” idzie nam bardzo mozolnie. Staruszka siedzi w łóżku i każe sobie powtarzać pytania. Ma przytępiony słuch, więc za każdym razem nachylam się w jej stronę i wtedy zerkam w moje notatki, które robię w zeszytowanym kalendarzu. Czarne kreski oddzielające poszczególne dni tygodnia wzbudzają jej niepokój, domyśla się jakiegoś podstępku, na zapiski nie zwraca uwagi, ale równe linijki druku, nie wiadomo dlaczego, każą jej mieć się na baczność.

— „Dlaczego to podkreślone?” — pyta w końcu.

I gdy jej tłumaczę, że to kalendarz, rozpięta się w łóżku słucha z zadowoleniem mych wyjaśnień, kiwa głową, potakuje.

Po każdej przerwie „Babunia” wznawia monolog sakramentalnym zwrotem: — „Wtedy było dobrze”.

Teraz opowiada o swoim weselu. Dostali z mężem własny pokój w rodzinnych domach. Ładny był ten pokój. Duży. Ojca i siostrę obdarowała, tak się cieszyła.

W tym pokoju przechodziły na świat dzieci Marii Pięty. Niedługo się nimi nacieszyła. Dwoje pierwszych zmarło wkrótce po urodzeniu, ostatnie zabrała oспа. Miała wtedy trzydzieści lat, ciężko chorowała, poszła nawet pod nóż chirurga.

Czy nie wtedy powstała w niej myśl, aby zostać tercjarką? Tego już nie pamięta. Wie tylko, że w Lutonię złożyła śluby i została świecką siostrą trzeciej reguły w zakonie Świętego Franciszka. Potem w Ławiegnikach odnowiła te śluby i dostała habit, który przechowywała do tej pory, założyła go, gdy będzie umierała.

Mąż po stracie dzieci rozpił się, rzadko bywał w domu. Rzucił robotę w fabryce i wziął się za murarstwo. Miał nawet do tego dryg, fabrykant Poznański najął go jako szkutnika. Potem mąż wyjechał do Warszawy i tak się przyjęło, że wracał dopiero na zimę, bez grosza przy duszy. Ona wtedy chorowała, ale nie dała się niebezpiecznemu, handlowała i tak się to ciągnęło.

Potem przyszła rewolucja 1905 roku. Maria Pięta niewiele rozumiała z tego, co się wokół niej działo. Kiedyś przypadkiem trafiła na demonstrację robotników na placu Wolności. Jakis dygnitarz policyjny wzywał tłum do rozejścia.

— „Chciał dobrze — tłumaczy — ale nasz naród taki nieustłuchany. Wtedy wojsko zaczęło strzelać. I po co to wszystko, mój Boże. Strzelali, a ci jeszcze nie chcieli się rozjechać”.

Przypomina sobie inne szczegóły. Szubienice, które kazał wystawić generał Kazna-kow.

— „Raz siedmiu, jednego po drugim, wiszali”.

Skąd ona to wie? Denerwuje się, drżą jej pomarszczone ręce, które położyła na kołdrze. Na twarzy nie widać tego namysłu, twarz ma pogodną i coś jak uśmiech przekory. Skąd? Wszystko widziała. Z okna domu przy ulicy Długiej, drugie piętro. Ludzie się zbierali wieczorami u znajomych, żeby patrzeć. Zdrowe oczy umiały wiele wypatrzyć w ciemnościach. Wisielnicę. Księżdza.

— „A tak. Jakże by tak, bez księdza” — burcza się.

Widziała wszystko na dziedzińcu więzienia. Jednego razu nawet przekroczyła bramę placu straceń. Dziwnie jej tam było, ale szła bez obawy, koleżanka ją o to prosiła. Poszły razem do Kazna-kowa, a może do naczelnika więzienia, kto to teraz wie. Tak grubas. Przyjął je w kancelarii.

Po co poszła? Przecież mówiła, że z koleżanką. Koleżanka miała sprawę, chodziło o jednego więźnia. Młody. Naczelnik go sprządnął. Ten więzień był skazany na śmierć. Prosił naczelnika, żeby go ułaskawił. Ale grubas ich nie posłuchał. Wtedy koleżanka powiedziała, że weźmie z tym więźniem ślub, ksiądz był na miejscu.

— „Ale to nie pomogło. Wieczorem młodego powiesili”.

Wyteża pamięć, ale można pomyśleć, że rozgląda się po pokoju. Na stoliku budzik, którego tykania nie słyszy, obok radiodiod-biornik nastawiony na jakąś głucho falc przez współlokatorkę „Babci” i dalej świeca z urodzinowego tortu, z napisem „100 Lat”. Staruszka przygląda się teraz szafie, jakby stamtąd oczekiwała wsparcia.

— „Wiesz, że Frym?” — mówi nieoczekiwanie głośno „Babcia”.

To zniekształcone nazwisko głośnego karta i prowokatora, Fremela.

Skąd wie, że to właśnie on wiesz? Staruszka się ożywia. Znałam jego matkę. Nazywała się Śmiałowska, była w famulach za sąsiadkę, potem wzięła ślub z Frymlem, Niemcem.

Prostuje się na łóżku, rozpięta jak duma. Dużo wie, widziała tyle, że nawet człowiek uczony nie mógłby wszystkiego spamiętać. Przecież katalizmy, wojny, dużo wojen, ile, tego powiedzieć nie może. Liczy sobie na palcach, ale gubi się w tych rachunkach. Potem sobie coś przypomina i mówi pozornie bez związku: — „Mój Boże, postawili barykadę, ale co to pomogło”.

Ona nie mieszkała się do polityki, za politykę rozstrzelali kiedyś ojca matki. Pracowała, albo chodziła handlować, dom, kościół, znowu praca. Jak była wojna, jeździła do chłopów po towar, woziła do miasta prowiant, wszystko by wtedy kupili ludzie. Czasem Niemcy zabrali, jej to nie zrażało, trzeba było i do tańca i do różańca, dalej nosiła towar ze wsi.

Kiedy nastąpiła Niepodległość dalej handlowała, przyzwyczaiła się. Ludzie po fabrykach pracowali 12 godzin, dopiero komuniści zrobili 8, nie miała zdrowia do takiej harówki. Mąż chodził swoimi drogami, ona swoimi, potem mąż zabiło auto wysięgowe. Szedł szosą do Podębca z jeszcze jednym i najechało ich w Złotnikach. To było w sobotę. W niedzielę dała znać policja, co się stało, wtedy pojechała zobaczyć. Trupów nikt nie sprzątnął, leżały przy rowie, na miejscu był felczer. Kazał zabrać ciało. Powiedziała, że do kieszeni nie weźmie. Wreszcie jakaś miejscowa kobieta zgodziła się, aby zwłoki przechować w jej zagrodzie. Leżały tam tylko jeden dzień, bo w poniedziałek był pogrzeb. Pochowała męża na cmentarzu w Dąlkowie.

— „Miałam wtedy — zastanawia się — 62 lata. Zaraz się zaczął o mnie jeden starać, ale go nie chciałam, chociaż dobrze mi się za mąż trafiało”.

Po mężu dostała z Kasy Chorych 200 złotych. Ale renty sobie nie wyrobiła, bo gdzieś zgubiła książeczkę. Żyła wtedy jeszcze na świecie jej siostra, poza nią nie miała nikogo. Tę siostrę przysypał gruz na Freta w Warszawie, w którąś wojnę.

Mówi spokojnie, jak człowiek świadomy prawdy, że wokół niego wszyscy odchodzą. Ona jest na świecie, przywykła do tego. Jest, z twardą ledwie tkniętą przez zmarszczki i rękami drżącymi, które zastarzały się najprędzej.

Teraz siedzi w łóżku z głową owiniętą jakąś chustką, bo dziś akurat czuje się nie najlepiej. Ale nie skarży się, ma swoje sekretne środki na taką pogodę.

— Smaruje się octem — mówią pielęgniarki. — Mammy z nią kłopoty. Nie chce brać leków, które zleci doktor. Używa tylko proszki przeciwko bólowi głowy.

Z „Babcią” nie ma dyskusji, zna przywileje swego wieku. A zresztą nie pozwala sobie na dłuższe leżenie. Rano znów będzie na nogach. Pójdzie karmić ptaki, które nazywa swymi dziećmi albo jeździ na dół pożartować z mężczyznami na parterze.

— „Lubię jeszcze podokazywać” — mówi sama z uśmiechem.

Zna ją tu wszyscy, personel i pacjenci. I z troską przyglądają się, z jaką brawurą pokonuje piętra. „Co pani robi?” — zwrócił jej ktoś uwagę. Tylko na chwilę straciła rezon. I jak nie palnie: „A tak, chłopaka szukam”.

— „Uciek!” — cieszy się na wspomnienie tego „Babcia”.

Od kilkunastu dni Maria Pięta jest na ustach wszystkich. Ukończyła sto lat, zaczęła drugą setkę. Sama daje sobie trochę więcej, uważa, że urodziła się o dziesięć dni wcześniej niż zapisano w parafialnych aktach stanu cywilnego.

— „Poplątali” — mówi pogardliwie. Ma tym słowem towarzyszyć gest ręką, ale nie potrafi nią poruszyć odpowiednio zamaszkuje.

Na temat samej uroczystości setnej rocznicy jej urodzin „Babcia” milczy. Ma, zdaje się, pretensję do ptaków, które wyjadły jej akurat tego dnia masło wystawione za okno, na parapet. Poskarżyła się na „dzieci” pielęgniarkom. Otrzymała nową paczkę, ale musiała ją zabrać ta ptasia niewdzięczność.

W szafie trzyma prezenty, które otrzymała na urodziny. Chustkę na głowę, materiał na sukienkę. Torły zjedzone, została tylko pamiątkowa świeca. Z upoważnienia „Babci” wszystkich gości poczęstowano herbata, a występy „Zespołu Harnama” uprzyjemniły towarzyskie spotkanie.

Potem odeszli się inni, całkiem nieznanzi „Babci” ludzie. Przyjeżdżali na Paradną z kwiatami, nadawali gratulacje i życzenia. Dom, zazwyczaj zimny zapomniany przez ludzi, zaczęto nawiedzać, choć niełatwo tu dotrzeć w czasie roztopów.

Jest tego zainteresowania przyczyna. Trochę ją ono dziwi, odrobina nawet chyba męczy. Staruska się nie dostrzegała świata, aż tu nagle świat dostrzegł ją — całkowicie nowa sytuacja, w której „Babcia” nie wie, jak się znaleźć.

Więc siedzi w łóżku i patrzy. Przyjmuje wizyty. Niezbyt ochoczo odpowiada na pytania. Sama na świecie, który już ledwie rozumie; z jego wojnami; skrzyżkami, w których pokazują się gadający ludzie; polityką, za którą rozstrzelano dziadka.

Siedzi z twardą ledwie tkniętą przez zmarszczki. I rękami, które zastarzały się przed.

KONRAD FREJDLICH

LUDWIK SZUMLEWSKI

NAUKA wkracza do sportu

Obserwując metody treningu w sporcie wyczynowym, chcąc nie chcąc dochodzimy do przekonania, iż w sporcie zaszyły w ostatnich latach duże zmiany. Ale chociaż postęp nauki, techniki i mechanizacji życia jest ogromny, niewiele jeszcze możemy zdziałać w dziedzinie przygotowywania reprezentacyjnych zawodników w poszczególnych dyscyplinach sportu. Mowa tu, oczywiście, o zawodnikach, którzy mieliby coś do powiedzenia w skali europejskiej lub światowej. Prawdą jest, że Janusz Kusociński pracując metodą chałupniczą, bez trenera, bez wskazań naukowych — bił rekordy światowe. On pierwszy przełamał przeciż hegemonię Finów w biegach długich. Jego jedynym i niezawodnym trenerem był tylko zegarek — sekundomierz. W czasie biegu trzymał go w ręku i co chwila zerkał nań, aby w ten sposób regulować tempo. Kusociński był rzeczywiście fenomenem biegni na miarę światową. Rezultaty swoje zawdzięczał przede wszystkim uporowi, żmudnym treningom, dużej ambicji i wielkiej woli zwycięstwa.

Wyobraźmy sobie Kusocińskiego dzisiaj, z jego walorami i predyspozycjami psychofizycznymi, kiedy do spraw treningu podchodził się w sposób naukowy...

Tak, dziś zawodnikiem wyczynowym interesuje się nie tylko trener, ale i cały sztab naukowców, a więc lekarz, fizjolog, psycholog, socjolog, a nawet biegły statystyk. Wszyscy oni mają na uwadze przede wszystkim dobry wynik zawodnika. Uzyskiwanie więc dobrych rezultatów w sporcie wyczynowym uzależnione jest przede wszystkim od dobrej i prawidłowej współpracy naukowców z trenerami. Skończyły się już w sporcie wyczynowym chałupnicze metody treningu, które kiedyś były nawet dobre, ale tylko dla wybitnie utalentowanych jednostek.

Idąc z postępowaniem czasu, jak również wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu, organizuje się dziś instytucje i towarzystwa naukowe kultury fizycznej. Zajmują się one problemami zdrowia w sporcie, opracowywaniem technik sportowych, metod nauczania treningu, ulepszenia sprzętu, przyborów i urządzeń, co w sumie stwarza dopiero warunki prawidłowej i nowoczesnej pracy.

Nie wszyscy wiedzą, iż u progu 1968 roku mamy w Polsce dwóch docentów, ponad 140 doktorów i aż trzy i pół tysiąca magistrów wychowania fizycznego. Ludzie ci wzięli sobie za punkt honoru ulepszenie metod pracy w zakresie racjonalnego szkolenia adeptów sportu, zawodników wyczynowych. Kilka tygodni temu powołano do życia i w naszym mieście oddział Towarzystwa Naukowego Kultury Fizycznej. W skład prezydium tej pożytecznej placówki wchodzi: dr Narczyk Nonas, docent dr Kazimierz Markiewicz, dr Zdzisław Wyżnikiewicz, mgr Gwidon Grochowski i red. Jarosław Nieciecki. Z uznaniem więc należy przyjąć fakt, iż na terenie Łodzi, gdzie jak wiadomo, mamy dużo utalentowanej i usportowanej młodzieży, powstała instytucja powołana do pogłębiania prawidłowego rozwoju wychowania fizycznego i sportu wśród tych, którzy wykazują do tego zamiłowanie, talent oraz upór w dążeniu do osiągania laurów, aż po olimpijskie włączenie.

ków, F. Engels — dwadzieścia siedem, W. Lenin — jedenaście, a pierwszy radziecki minister oświaty A. Lunaczarski znał prawie wszystkie języki europejskie.

Do poliglotów należy także zaliczyć Lwa Tołstoję, który doskonale znał 17 języków obcych oraz tyłez literatur. Lesia Ukrainka opowiadała dziesięć języków, a Iwan Franko — sześć, przy czym (np. po polsku), swoje utwory pisał on w kilku językach. Borys Pasternak znał pięć języków...

Oczywiście, aby reguła nabrała większej wartości, reguła dotycząca ludzi i języków obcych, znaleźliśmy i ów przysłowiowy wyjątek, naturalnie — dla tym dobitniejszego jej potwierdzenia. Tym wyjątkiem jest Antoni Czechow. Oto co mówi o sobie:

„Nie znam języków. Eh, z jaką przyjemnością wychłostałbym siebie za to. Bez języków obcych człowiek czuje się jak bez paszportu”.

A obecnie? Naturalnie i teraz też poligloty są wśród nas. Np. w rzymskim uniwersytecie wykłada profesor Carlo Togliaviani, który doskonale włada trzydziestoma pięcioma językami, wykłady prowadzi w dwudziestu pięciu językach, a wszystkich języków zna ponad sto dwadzieścia. Jak twierdzi sam profesor — lubi on dla przyjemności i dla wprawy rozpocząć przemówienie w języku francuskim, by poprzez polski, hiszpański, jakiś zapomniany dialekt eskimoski, hindi, angielski i rosyjski — zakończyć je po włosku. Profesor Tagliaviani w ciągu roku opanowuje trzy do czterech języków obcych.

Wśród fenomenów — poliglotów znajduje się Amerykanin D. Carlin oraz Francuz G. Colratci, którzy znają ponad siedemdziesiąt języków. Ojciec współczesnej cybernetyki Norbert Winner zna trzynaście języków, a bez żadnego przygotowania może wystąpić z wykładem po angielsku, niemiecku, francusku, włosku, hiszpańsku.

Z radzieckich poliglotów najbardziej znani są: profesorowie Paul Ariste (czterdzieści języków) i Andrej Zaliznik (także czterdzieści języków), ekonomista L. Wasilewski (około trzydziestu), wspomniany już student-geograf Eugeniusz Nikołajew (dwadzieścia pięć). Po

dziesięć języków znają E. Carenko (inżynier) i W. Ostrowski (dziennikarz).

Zapytani o to poligloty przyznają, że proces nauczania się jakiegoś języka jest niezwykle skomplikowany i trudny, a każdy z nich ma swoją własną metodę pracy. Jeden uczy się najpierw słówek, a potem gramatyki i po tym wszystkim usiłuje czytać i mówić. Inny znów uważa, że najlepsze jest intensywne czytanie, czytanie bez końca, a potem próba powtarzania, mówienia. Innymi słowy, dla każdego człowieka należy znaleźć odpowiednią metodę. A jak wykazała praktyka, każdy człowiek może nauczyć się jednego, a nawet kilku języków obcych. Wystarczy tylko chcieć. A ja podczas swych peregrynacji wołyńsko-krzymskich spotkałem wielu ludzi, którzy znali polski, a jeszcze więcej takich, którzy zaczęli się tego języka uczyć. Powodów dla których oni to robili było mnóstwo. Oto tylko niektóre z nich.

— Macie znakomitą poezję! — mówili poeci.

— Macie świetną prasę! — dziennikarze.

— Doskonale są wasze audycje radiowe! — radiostuchacze.

— Świętny jazz i big-beat! — młodzież.

— A jakie płyty! — też młodzież i trochę starszych.

— Polska. Jaki to ciekawy kraj! — turyści.

— Polacy są młodzi, eleganccy i przystojni! — kobiety.

— Najlepsze są wasze „kryminały”! — wszyscy.

Chcicie to wierzyć, chcicie — nie wierzyć, a ja powtarzam raz jeszcze, że na Ukrainie zupełnie wyjątkowo popularność mają polskie książki sensacyjno-kryminalne. Prawdą jest, że w polskich stoiskach w księgarniach wiele sprzedaje się Mickiewicza, Norwida, Różewicza, czy też Sienkiewicza i Andrejewskiego, ale „kryminały” kupuje tu każdy, nawet ten kto ledwie poczynił sylabizować po polsku, zaintrygowany fabułą „dreszczowca”. I pomyśleć, że jeszcze niedawno, nie wiadomo dlaczego bojkotowano u nas „kryminały” odsadzając go od czci i wiary, „kryminały”, który — upraszczając sprawę — karał winnych, a brał w opiekę pokrzywdzonych. A teraz robi dla nas świetną robotę, po-

pularyzując nasz język, a poprzez niego i nasz ogólnonarodowy dorobek kultury. I dlatego nie bójmy się „kryminałów”, dobrych „kryminałów”, których na radzieckim rynku nawet łącznie z tymi w języku polskim ciągle jest za mało chociaż od pewnego czasu w prasie radzieckiej trwa ożywiona dyskusja nad tym gatunkiem literackim, który już teraz w ZSRR został całkowicie zrehabilitowany!

Stoję w kijowskiej księgarni przed półką wypełnioną polskimi książkami. Półka ma kilka metrów długości, a sięga pod sam sufit. Wzrok mój błądzi po ich grzbietach. Błęszniaki. Wielokrotnie widziałem go, jak szedł ulicą Mickiewicza do swojego mieszkania w domu literatów pod numerem ósmym. Zawsze był taki sam i tak samo ubrany. Czarny, nieomal nowy kapelusz. Czarny płaszcz, może trochę za długi... Siwa, starannie przystrojona brodka. I aż tu zawędrowała jego książka, do tej księgarni na Kreszchatku...

„Szkoła dwóch dziewcząt” Chrościelewskiego. A on tam na Piotrkowskiej siedzi przy biurku i męczy się z jakimś tekstem, a tymczasem jego „Szkoła” stoi sobie na ukraińskiej półce i zupełnie jest jej obojętny, czy kupi ją kto za kilkadziesiąt kopiejek, czy nie. „Spisówce bramy” Brezy jest kilka egzemplarzy. Książki Wydawnictwa Poznańskiego. „Czytelnikowskie” wydanie „Poloneza” Jażdżyńskiego. Widziałem autora ostatni raz na łódzkim II Ogólnopolskim Festiwalu Poezji. — Niech pan wpadnie do nas. Radio to work bez dna... — mówił z uśmiechem i miał ręce skrzyżowane na piersiach. A było to na początku czerwca. Wreszcie rwa mi się skojarzenia i dochodzę do wniosku, że ten czas jednak szybko leci. Spoglądam jeszcze na „Ojca” Koprowskiego, „Pana Samochodnika” Nienackiego i postanawiam już zakończyć to moje zagraniczne spotkanie ze znajomymi. Wychodzę na ulicę i pod kasztanami odnajduję kioski. Obok „Trybuny Ludu”, „Życia Warszawy”, „Świata” i „Sportowca” znajdują się starannie rozłożone kolorowe pocztówki z widokami Kijowa.

ROMAN GORZELSKI

ZYGMUNT FIJAS

Pół żartem pół serio

WIOSENNE GODY

Dni gnają ku wielkanocy białymi, lotnymi puchami obłoków. Ale ziemia nie odsłoniła się jeszcze, chociaż minął marzec. Nawet leszczyna nie zakwitła baziami, czarna olcha też nie, mimo że to początek kwietnia. Wciąż trzymają mrozy.

Muszą jednak rozmięknąć śniegi. I znowu po pierwszych roztopach wzbije się ponad wody czajka, na brunatnoszarych torfowiskach zaczną tańczyć żurawie, trąbić swe przedślubne fanfary.

A w cieplejsze popołudnia, prawie aż do samego zachodu słońca, będzie się rozlegać koźle beczenie kszyków, wieczorami zaś klekot dubeltów.

— Kwiit kwiit wit — zapiszczy tokująca czajka.

— Syrinks, Syrinks — poczną szeptać imię pozielieniałej trzciny chwilejące się na rozlewiskach oczerety.

MIGAWKA Z TUROSZOWA

(Inżynierowi Lergetporerowi z Turoszowa, Szkotowi z pochodzenia, zamiast szkółki spóźnionego na jego urodziny, tę garść słów do pamiętnika).

Trąbanie stada strwożonych stoni. Napowietrzni komandosi wysadzają ostatnie mosty między chmurami. A potem ciemności zatriaskują się w górotwórczym ryku. W nich okna elektrowni świecą jak hutyszkłane.

I znowu rozbłyska jasność, znowu w ciemnościach rozlega się dudnienie min.

A potem miliardy kulek gradu spadają na blachy zabudowań. Ziemia zaczyna dzwignąć, jakby kto zwał tysiące pustych cystern po kamiennych schodach.

Jest to chyba huragan tysiąclecia.

Ale nie zjele on, nie grzeje dyżurnego inżyniera, przekładającego wtyczki na pulpici dyspozytorskiej: i śledzącego puls wskazywek, informujące o ruchu molibdenowych turbin. W nich para jest spreżona do tyłu atmosfer. Ie ich potrzeba, żeby jej strumień przeciął blok granitu. Jak brzytwa osłkę masła.

ZGRZYT KRAJOBRAZU

Dalekie grądy wciąż jeszcze czarne, chociaż tu i ówdzie wśród dębów pokazują się zielonkawożółte mgiełki pąkowania. Obrzeżona berberysami tarnina zakwita migdałowymi płomieniami. Opodal niej jabłonie o różowych koronach. Ale czasem trafia się wśród nich odmieniec: biały jak świeżo spadły śnieg. Utrilla.

Te jabłonie, te dębowo-grabowe grądy, ten potok rozbiegający się tysiącami barw, ten daleki kamienieć o wyjeżdżonych koleinach i ta rybitwa, kołująca nad wiklinami, to wszystko staje się drażniącym kłosem, kiedy z szosy zjeżdża ciągnik z przyczepą, napędzając krajobraz metalowym gdakaniem, tak przeraźliwie donośnym, iż ptaki milkną, ryby dretwieją, zaś dzieci wiją się we śnie, jak chorzy w czasie elektrowstrząsów.

UMYSŁY POZYTYWNE

Od wielu lat waleś się wśród szparagów karteczka z kilku odpisanymi zdaniem, czy to z Hipolita Tainea „Żywot i myśli T. F. Graindorgea”, czy z innego jakiegoś pozytywisty. Ale ostatnio zostało napisane z wszelką pewnością przez Tainea.

Pierwsze: „Co zaś... Co zaś do wieprzów to są to zwierzęta o bardzo dystygnowanych i wielkopięsłych instynktach — i finiezjach dyplomaty”.

Drugie: „Pozytywnie się metafizyki i uprzejmości. I zacząłem iść prosto przed siebie w dobrym kierunku, to jest drogą prowadzącą do pieniędzy”.

Trzecie: „Swinie napadnięte przez niedźwiedzia ukladają się w półkole, pokazując kły. Jeśli zaś która oddali się i da się zjeść, krzyczą wszystkie razem podnosząc kły. A potem zjadają resztki swej przyjaciółki”.

Trudno dziś dociec, dlaczego te zdania opatrzyło się w wieku młodzieńczym sygnatura „Umysły pozytywne”.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TEATRY ŁÓDZKIE na półmetku sezonu

ODPOWIEDZ NA ANKIETĘ

O ile nie pomyliłem się w rachunku, 4 teatry dramatyczne dały na 6 swoich scenach od początku sezonu 1967/68 łącznie 13 premier. Premiery te uszeregowalbym w cztery grupy.

Pierwsza z nich, to przedstawienia ambitne, niejako wiodące w stosunku do całego repertuaru poszczególnych teatrów. Doliczyłem się czterech takich pozycji, po jednej

w każdym teatrze. Jest to: „Przełom” B. Ławreniwa w Teatrze im. Jaracza na scenie Teatru „Rozmaitości”, „Noc spowiedzi” A. Arbuzowa w Teatrze Powszechnym, „Los człowieka” M. Szolochowa (adapt. St. Powołockiego) w Teatrze Ziemi Łódzkiej i ostatnia premiera Teatru Nowego — „Tka-cze” G. Hauptmanna. W zasadzie wysoko oceniam wszystkie wymienione spektakle, choć za najtrudniejsze i tym samym za najambitniejsze uważam zadanie artystyczne, jakie wziął na siebie Teatr Nowy. W krótkiej wypowiedzi nie mogę zdania tego uzasadnić. Pozostaje więc mi odesłać zainteresowanych do mojej recenzji z „Tka-czy” w „Głosie Robotniczym”.

Drugą grupę stanowi klasyka, łącznie 5 pozycji, z czego aż 4 w Teatrze Nowym. A więc: „Damy i huzary” Fredry i „Blacharz burmistrzem” L. Holberga na Dużej Sali, „Swierszcz za kominem” Ch. Dickensa i „Skiz” Zapolskiej na Małej Sali. Teatr Ziemi Łódzkiej wystawił „Hedde Gabler” H. Ibsena. Poza sztuką Holberga, która okazała się tekstem zwietrzałym, przedstawienia z tej grupy reprezentowały dobry poziom. Wszystkie jednak pozycje należały do tzw. małej klasyki. Dużą klasykę teatry zapowiadają na drugą połowę sezonu.

Do trzeciej grupy zaliczyłbym sztuki przeznaczone przede wszystkim dla rozrywki. Należą tu obie premiery na scenie „7.15”, to jest „W czepek urodzona” Z. Skowrońskiego i „Zielony Gil” T. de Molina — J. Tuwim oraz „Radziwiłł, Panie Kochanku” J. I. Kraszewskiego (adapt. J. Mazanka i R. Sykały).

Wreszcie samotną reprezentacją czwartej grupy, czyli bajek dla dzieci, były „Trzy białe strzały” J. Makariusza w Teatrze Nowym.

Dla pełniejszego obrazu można by wymienić jeszcze sztuki dogrywane przez teatry z poprzednich sezonów. Myślę jednak, że zostaniemy przy zbilansowaniu dorobku premierowego połowy sezonu.

Wniosków miałbym kilka:

1) godnie uczcili teatry łódzkie 50 rocznicę Wielkiego Października;

2) brak, jak dotychczas, poważniejszych pozycji, reprezentujących polską dramaturgię współczesną;

3) niewielka jest ilość sztuk współczesnych obcych;

4) brak dużej klasyki polskiej i obcej.

Myślę, że braki sygnalizowane w punktach 2—4 mogą być zrekompensowane w drugiej połowie sezonu. Niemniej nie mogę się powstrzymać od zacytowania zestawu sztuk granych aktualnie przez 4 teatry łódzkie. Grają więc tam: „Fantazego” Słowackiego, „Hamleta” i „Cymbelina” Szekspira, „Mizantropa” Mollera, „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej, „Bezimiennie dzieło” St. Witkiewicza, „Łaźnię” Majakowskiego, „Powrót do domu” Pintera. Oprócz tego Teatr Faktu wystawia „Trismusa” Grochowiaka i czynne są dwie imprezy w ramach Teatru Jednego Aktora: T. Malak prezentuje „W środku życia” wg Różewicza, a R. Filipiński — reportaże Brychta. Nie wspominam już o kabaretach w Jamie Michałkowej i w „Piwnicy Pod Baranami”.

Można tam spędzić interesująco wieczór? A u nas?...



MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

O chlebie wypiekanym w Mirosławicach

Ręka matki puka do środka głodu spojrzalem w gwiazdny piec chleby parują jak w uprzejmy brzuch wołów na ławie stygną kłosa zięte przy akacjach i pachną aż do stacji schowanej w gałęzi węgle w glinianym dołku jak niebo syknęły gwiazdy zalane garnuszkiem wody zapach zatrzymał sroce mur stanął i ani kroku poza objawienie chleba na gwiazdach drzewnych matka miotką omiotła cegły kwasem przeżarte i ogniem smolnych szczap nigdy nienajedzone

Cukier

Ręce podobne do drewna przerąbanego na pół
Wyście drzazgi promieniały ziemią
Żeliwne gary niosą na brzuchu Zarcie świniom
Jabłonce szmaty żeby na wiosnę zaszała w biel.

Ręce kobiety z Mirosławic, która była moją ciotką
zawsze widzę na gracy tnącej osły Burak zawiązał się
w cukier

Ale cukiernica zamknięta w szafie Cykoria słodzona
w niedzielę

I na pogrzeb.

Dom ułożony z ziarenek soli
cierpliwie palec za palcem paznokieć za paznokciem

Umarła w drodze do kopca Keszce były puste
Głowa odwrócona do kartofli, lewa ręka pełna mrówek.

Pochodzenie

JANOWI CZARNEMU

Krzyże wzgórzami na ojca idącego z blacharni
okrakiem na drewnie liczę ogromne jaskółki trumien
co złożyły skrzydła nad dołem nieba
Wigile ryb moich Jodły piszczałek w miasteczku
które obiegałem w pięć minut słońca
Lew złoty nad apteką
poeta w brokacie granitowym
z kamienną księgą na kolanach w której jedna kartka
poruszona

w szybie Męclewski i Syn łączyła głowa
po drugiej stronie czerwona cegła koszar
W niedzielę matka w sukni jak czarne porzeczeki
z książeczką na podółku
z kwiatuszkiem koronkowym kołnierzyka
Garbus na rowerze wiezie garb
w Ogródku Wiedeńskim krzyknął klarnet
gałęzie otwierają uzbębione pyski
we mnie uderzają o siebie kłosa
Jeszcze gołąb wyfrunął z białego muru
i zasypiają wszystkie drzwi

Teatr i miłość czyli miłość i teatr

Gdy w r. 1950, z okazji ukończenia 85 roku życia, Somerset Maugham udzielił pewnemu dziennikarzowi wywiadu, powiedział w nim rzeczy, które mocno zastanowiły jednego spośród licznych jego zwolenników: „W pięć lat po mojej śmierci i sztuki moje i powieści będą przebrzmiały, przestarsze. Nie mniej to nie obchodzi, skoro mnie już wtedy nie będzie. Nigdy nie pisałem po to, żeby zdobyć nieśmiertelność. Mętnie to pojęcie i cześć słowa”. Ten dość sceptyczny sąd starego pisarza o własnej twórczości nie należy do odosobnionych. George Sampson był podobnego zdania, bo oto, co napisał w swojej opasłej „Historii literatury angielskiej”: „Sztuki Somerset Maughama nie prze trwają, jak sądzimy, równie długo jak najlepsze z jego powieści. Maugham traktuje piśmiennictwo jak zawód i zarówno w powieści jak w dramacie utrzymuje bardzo wysoki poziom, jeśli oceniać go wedle kryteriów komercyjnych, rzadko jednak sięga wyżej”. A inny krytyk, John Brophy, analizując środki pisarskie autora „W niewoli uczuć” stwierdził, że „styl Maughama służy tylko i wyłącznie do posuwania naprzód akcji”, co w języku krytycznym stanowi raczej przyganę, niż pochwałę.

Niezależnie jednak od tego, co myślał naprawdę o swoich dziełach sam autor i jego krytycy, jesteśmy świadkami nie słabnącej popularności Somerset Maughama. Wprawdzie od jego śmierci nie minęły jeszcze nawet trzy lata (zmarł 16 grudnia 1955 r., przekroczył 91 rok życia), ale przecież historia literatury zna przykłady i to bynajmniej nierzadkie, gdy pisarstwo już za swego życia traci popularność i nikt się nim nie interesuje: ani czytelnicy, ani krytycy. Nie takiego nie dzieła się z utworami Maughama. Ostatnio ukazały się u nas, w Polsce dwie pozycje tego autora: w serii „Kolibry” opowiadanie „Deszcz”, a w serii „Niki” głośna powieść „Teatr”, którą po raz pierwszy opublikował Maugham w 1937 roku a wkrótce potem przełożono ją na język polski. Od tego czasu technika powieściopisarstwa bardzo się rozwinęła, eksperymenty przeraziły tradycję narracyjną, mieszały chronologię i burząc łańcuch przyczyn i skutków. Mimo to a raczej chyba właśnie dlatego pisarz, który potrafił dobrze i zajmująco opowiadać, jest wciąż w cenie, może nie u krytyków, ale na pewno u czytającej publiczności.

Somerset Maugham jest majstrzem od budowy akcji i tzw. powieściowej intrygi. Nie obchodzi go psychologia, zdają się nudzić go dociekania filozoficzne, lekceważy to, czym tak bardzo chlubi się awangardowa proza dwudziestego wieku. Obdarzony dużym talentem narracyjnym rozstrząsa przed nami sytuację i zdarzenia, a wplata w nie bohaterów przykuwając naszą uwagę. Najczęstszymi problemami jego utworów są sprawy miłości i sprawy małżeństwa. W powieści, o którą mi chodzi, mamy miłość i małżeństwo w teatrze, albowiem głównymi bohaterami utworu jest dwoje aktorów: piękna Julia Lambert i przystojny Michał Gosselyn. Najpierw tuka się po prowincji angielskiej, później Michałowi udało się wystąpić przez rok w Ameryce, a wreszcie osiedla się w Londynie, gdzie zakłada własny teatr im. Sary Siddons, dzięki pomocy materialnej niejakiej pani Dolly, kobiety samotnej i zamożnej, która otacza Julię uczuciami wielkiej (i dwuznacznej) miłości. I od tego momentu śledzimy perypetie tych dwojga zarówno w teatrze i w świecie teatralnym, jak i na terenie życia prywatnego. Gorąca miłość małżonków ustępuje stopniowo uczuciu obojętności, a w końcu

(związka ze strony Julii) uczuciu zniechęcenia, co sprzyja nawiązywaniu flirtów i miłostek z wybranymi adoratorami jej urody i scenicznego talentu. Ale do rozwodu nie dochodzi, raz dlatego, że Julia romansuje w tajemnicy przed mężem, a dwa, że wcale nie chce Michała porzucić. Jest jej partnerem w życiu i w teatrze. Grają razem w wielu sztukach, zdobywają uznanie krytyki, sympatię widzów, no i pieniądze, które wprawdzie nie dają pełnego szczęścia, ale pozwalają urządzić sobie taką egzystencję, na jaką ma się ochotę. Niejako „po drodze”, jakby od niechcenia, Somerset Maugham rozsypuje szczerą ręką uwagi i refleksje na temat sztuki aktorskiej („Nie rolę, ale aktorzy są do niczego”), obyczaju teatralnego („Wiesz, jak plotkują w teatrze, w dwadzieścia cztery godziny wszyscy wiedzą wszystko”), na temat ludzi z tzw. wyższych sfer („Był tak wykwintny, tak dobrze wychowany i wykształcony, że nie mogła wyobrazić go sobie jako kochanka”), czy wreszcie na odczytany temat miłości („Miłość to jest niebezpieczna i niebezpieczna, to właśnie daje kobietom władzę nad mężczyznami”), to powieść napisana przez czołowego bywalego, pisarza, który wiele podróżował, wiele widział, który obracał się w najrozmaitszych sferach i środowiskach i jego wiedza o życiu i ludziach jest, po pierwsze, ogromna, po drugie, przesycona ironią i sceptycyzmem, a także swoistą nutką humoru.

Oczywiście, są w tej powieści miejsca doskonałe i są miejsca słabe, a nawet żenujące (do tych ostatnich zaliczyłbym romans Julii z Tomem, młodym chudzielcem, niewiele starszym od jej syna Rogera). Psychologiczne nieprawdopodobieństwo, melodramatyzm i ckliwość stają się tutaj nieznosne i aż dziw, że wyszły one spod tego samego pióra. Somerset Maugham był świadom tego, że pisał rzeczy nierówne. W rozmowie z krytykiem powiedział kiedyś: „Tylko kiepski pisarz jest zawsze na równie dobrym poziomie”. Jakkolwiek jest to świetna uwaga, to przecież nie mogę oprzeć się przekonaniu, że autor wypowiedział ją na usprawiedliwienie wielu niedociągów. Pisał tak dużo, że niepodobnie było uniknąć rzeczy słabszych, mniej udanych. Dorobek Maughama wynosi: 15 powieści, 12 zbiorów krótkich opowiadań (short stories), 7 tomów esejów, 4 książki reportaży i 17 sztuk teatralnych, nie licząc scenariuszy filmowych i drobnych pism ulotnych.

Somerset Maugham był człowiekiem światłym i mądrym i znał tajemnicę sukcesu. W jednej z ostatnich swoich książek „Points of View” (1958), zawierającej eseje o pisarzach, na marginesie rozważa o Goethe, Maugham zanotuje: „Co sprawia, że stał się ciężka do zniesienia, to nie osłabienie zdolności umysłowych i fizycznych człowieka, ale ciężar naszych wspomnień”. Umarł syty sławą, zamożny, czytany i ponad miarę obciążony wspomnieniami.

W. Somerset Maugham: „Teatr”, tłumaczyła Krystyna Szerer, Czytelnik, Warszawa, 1967 r.

Założony 21 października 1917 r. Związek Bibliotekarzy Polskich obchodził w ub. roku uroczystość 50 rocznicy powstania pierwszej zawodowej organizacji bibliotekarzy w Polsce. Powstał on w momencie tworzenia zrębów naszej państwowości, po przeszło stuletnim okresie rozbiorów. Istniało kilka zasadniczych powodów, dla których organizacja taka musiała powstać:

■ przede wszystkim rozwój piśmiennictwa naukowego, sprawający, że opracowanie oraz szybka, fachowa informacja o literaturze danego tematu zaczęła wymagać specjalnej kadry wysoko kwalifikowanych pracowników, co w konsekwencji spowodowało ukształtowanie się zawodu bibliotekarza;

■ pragnienie stworzenia korzystnych warunków dla krzepnięcia zawodu oraz chęć zapewnienia mu odpowiedniej rangi w drodze szkolenia adeptów i podnoszenia kwalifikacji już zatrudnionych pracowników;

■ konieczność zlikwidowania skutków rozbiorów, ujednolicenia sieci bibliotecznych, a także przepisów i słownictwa zawodowego;

■ dążenie do zapewnienia członkom Związku jak najlepszych warunków materialnych i bytowych;

■ utrzymywanie ścisłej więzi między pracownikami bibliotek wszystkich szczebli i wszystkich sieci, co umożliwiałoby wymianę doświadczeń zawodowych i zapewnienie wysoki poziom bibliotekarstwu polskiemu.

Kolebką nowo powstałego stowarzyszenia mogły stać się jedynie centra nowożytnego bibliotekarstwa polskiego: Warszawa, Kraków lub Lwów. Wykorzystując ograniczone koncesje, jakich skłonne były udzielić zrzeczeniom narodowym, zaangażowane w wojnę, mocarstwa centralne — w 1917 r. w Warszawie powołano do życia Związek Bibliotekarzy Polskich, który w pierwszej fazie, zrzucił jedynie pracowników bibliotek stołecznych. W tym samym roku lwowskie środowisko bibliotekarzy zainicjowało działalność Towarzystwa Bibliotekarzy Polskich, które skutkiem izolacji poszczególnych ziem, dopiero w trzy lata później zostało przekształcone w Koło Lwowskie ZBP.

Nie wszyscy łezkają wiedzą o tym, że pierwsze, poza Warszawą, Koło Związku powstało w naszym mieście dn. 19. I. 1919 r. Z idea powołania do życia terenowego ogniska ZBP wystąpił młody kierow-

nik Biblioteki Publicznej, Jan Augustyniak; Jeszcze w marcu 1918 r. — mianowany członkiem — korespondentem. Miałą szacunek i zaufanie, jakie zdobył w środowisku inicjator ruchu zawodowego, jest fakt, że do dziś piastuje on godność przewodniczącego Zarządu Oddziału Łódzkiego.

W tym samym roku (31. V.) powstało w Krakowie drugie z kolei Koło. Do r. 1926 pracownicy bibliotek polskich utworzyli pięć regionalnych organizacji zawodowych przy aktywniejszych ośrodkach. W tymże roku utworzona została ogólnopolskowa Rada ZBP, stanowiąca najwyższą władzę wykonawczą i od tego też czasu naczelną instancją organizacyjną były doroczne Zebrania Delegatów Kół.

Do r. 1930 zorganizowano cztery krajowe Zjazdy Biblio-

te zresztą do działalności na terenie IFLA. Na łamach obcych pism fachowych pojawiały się inspirowane artykuły, informujące zagranicę o postępach w dziedzinie organizacji i techniki bibliotecznej w Polsce.

Okupacja hitlerowska, której ofiarami padło przeszło 23 proc. członków ZBP (ponad 130 osób), zmusiła Związek do nielegalnych form działania, mających na celu: ochronę i kształcenie kadr bibliotekarskich, które mogłyby w wywołanej odcyżnie podjąć normalną działalność, ocalenie i zabezpieczenie najcenniejszych materiałów bibliotecznych oraz mienia kulturalnego, gromadzenie zbiorów wydawnictw konspiracyjnych, udostępnianie literatury uczonym i twórcom pozbawionym możliwości korzystania z bibliotek

Związek zdobył sobie autorytet u władz, jak również udało mu się zaskarbić zaufanie zrzeszonych bibliotekarzy i archiwistów*). Bardzo ważnym osiągnięciem było powołanie z inicjatywy Zarządu Głównego: Naczelnej Dyrekcji Bibliotek, pełniące funkcję koordynatora krajowej polityki bibliotecznej, Państwowego Instytutu Książki — centralnego ośrodka inspirowanego i prowadzącego badania związane z książką i biblioteką oraz naczelnego organu społecznego do tych zagadnień — Rady Książki.

Niepospolitą rolę w powojennych dziejach Stowarzyszenia odegrał Bogdan Horodyski, wicedyrektor Biblioteki Narodowej i przewodniczący Zarządu Głównego w latach 1957—65, którego energia i talent organizacyjny w niemałym stopniu przyczyniły się do rozstrzygnięcia licznych problemów w tym okresie.

Z całej plejady ofiarnych i pełnych poświęcenia działaczy wymienić tu należy nazwiska: obecnego prezesa, J. Baumgart, dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz zastępcę na polu utrzymywania kontaktów międzynarodowych, prof. dr Heleny Wieckowskiej, dyrektora Biblioteki UL.

* * *

Niewiele uwagi poświęca opinia publiczna Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, organizacji zasłużonej dla kultury narodu. Wydaje się, że 50-lecie powstania Stowarzyszenia jest doskonałą okazją, aby przypomnieć sobie o rzeczy bezimiennych pracowników oddanych książce i człowiekowi, o tysiącach członków SBP, których codzienny trud przybliżył nas do wspólnego celu, jakim jest wychowanie nowego, świadomego swojej roli inteligenta.

*) Od 1945 r. zmienił się profil zawodowy Związku, co znalazło odbicie w nazwie: Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich. W r. 1951 ze Związku ustąpił archiwista i w końcu 1953 r. przekształcono go w Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, które skupiało pracowników bibliotek wszystkich typów oraz osoby związane z problemami bibliotekarstwa.

LAURY dla zasłużonych

tekarzy przyczyniające się po-
kazanie do zespolenia i akty-
wizacji środowiska zawodo-
wego oraz rozpoczęto wydawa-
nie pism: „Bibliotekarz”, „Ex-
libris”, „Przegląd Bibliotec-
ny”.

W zakresie polepszenia wa-
runków bytowych pracowników
bibliotek prywatnych i
społecznych nie udało się
osiągnąć żadnych wyników. W
odpowiedzi na memoriał Rady
Związku, skierowany do ów-
czesnego ministra WRIOP, u-
zyskano zapewnienie poprawy
uposażenia bibliotekarzy pań-
stwowych, na czym zresztą
sprawę zakończono.

Nie wolno pominąć milcze-
niem działalności ZBP na fo-
rum międzynarodowym. Pol-
ska należała do grona 14 kra-
jów — inicjatorów powołania
do życia światowej federacji
stowarzyszeń bibliotekarzy
(1926 r.), który to twór znany
jest jako IFLA. Wśród wielu
ofiarnych działaczy Federacji
w latach 1926—39, na szczegól-
ną pamięć zasługują następują-
ce osoby reprezentujące pol-
ską myśl bibliotekarską: A.
Birkenmajer, J. Grycz, P. Ko-
czorowski, R. Kuntze, A. Ly-
sakowski, J. Muszkowski, St.
Wierczyński i W. T. Wistocki.
Wkład Polaków nie ograniczał

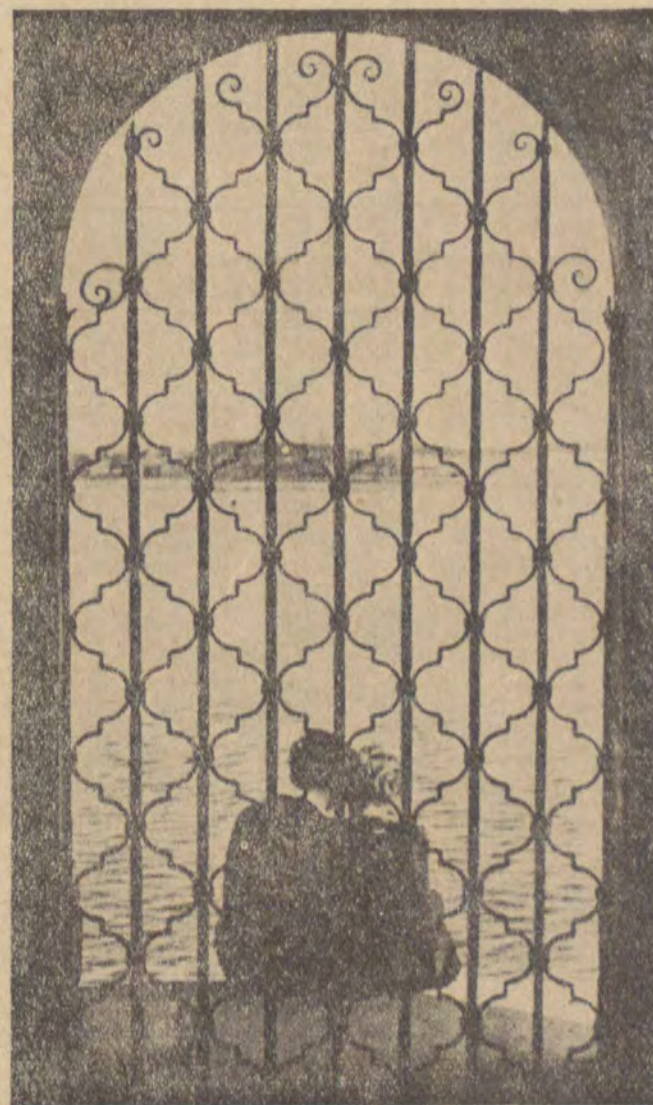
pozostających pod zarządem
władz okupacyjnych.

Już w latach 1945—46 Zarząd
Główny Związku uzyskał sze-
reg audyencji u ministra o-
światy i jedną u premiera. W
czasie tych rozmów ustalono
problemy zasadnicze dla przy-
szłej organizacji sieci biblio-
tecznej w kraju i zapewnienia
ich pracownikom należytych
warunków bytowych.

Dzięki energicznej akcji ma-
jącej na celu: właściwe roz-
strzygnięcie szeregu kwestii
organizacyjnych, związanych z
zabezpieczeniem księgozbi-
orów i odbudową bibliotekar-
stwa krajowego, podniesie-
niem rangi zawodu (należy tu
przede wszystkim wymienić
od dawna postulowane zatwier-
dzenie stopnia magisterskiego
w zakresie bibliotekoznaw-
stwa), wznowieniem działal-
ności publicystycznej itp. —

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI		spektakli widzów proc.	
„Pan Twardowski”	1	1276	100
„Dama pikowa”	2	2582	100
„Rigoletto”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
„Kniaź Igor”	1	1276	100
NOWY			
„Damy i huzary”	3	2100	100
„Trzy białe strzały”	3	2100	100
„Tkacz”	2	1400	100
NOWY — Mała Sala			
„Skiz”	2	400	100
„Śluby panieńskie”	2	350	75
„Szklana menażeria”	2	350	75
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	3	1550	70
„Tajemnica starej wierzby”	1	650	100
„Tango”	1	650	100
JARACZA			
„Nie zapomnisz onych dni”	3	1670	80
„Mój biedny Marik”	3	1609	95
OPERETKA			
„Niedziela w Rzymie”	6	4002	80
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Hedda Gabler”	5	1202	88
„Los człowieka”	8	2414	100
FILHARMONIA			
1 koncert popularny	770	sluchaczy	100



Efemeryda i konkret

Wystawa grafik i gobelinów pani Janiny Tworek-Pierzgalskiej w Salonie Sztuki Współczesnej sprawiła mi — a śmiem twierdzić, że nie jestem w tych doznaniach od osobniony, duża satysfakcję. A to zarówno z racji samej szlachetności technik w jakich wykonane są eksponowane prace, ich czystości i warsztatowej doskonałości, jak i wysokiego poziomu artystycznego. Tesknimy, a w każdym razie ja tesknę po wszelkiego rodzaju brudactwach, śmieciach i rupieciach kreowanych z zadziwia-

lentyzmu wysiłku twórczego. Nie znaczy to wcale, że jestem wrogiem awangardy i eksperymentu — przeciwnie, wychodzę z założenia, że w sztuce jak w życiu, nigdy nie wiadomo co w końcu może się przydać. Faktem jest jednak, że nie zawsze obcowanie z płodami awangardy do starca tych wzruszeń i przeżyć jakich się po dziełach sztuki spodziewamy. Stąd czasami zmęczenie, niepokój, rozczarowanie nawet. Stąd pragnienie cichej, spokojnej przystani.

Pani Pierzgalska pokazuje nam rysunki tuszem i akwaforty stanowiące początek jej własnej drogi razem z gobelinami będącymi na tej drodze jakimś słubym miłowym. Doskonałość techniczna metalu i tkanin jest bezsporna, a fakt, że to podkreślam, jest wynikiem po prostu wtórnej sztuki barbarzyństwa, w które po padliśmy nie z własnej złości winy.

Gobeliny biorą swój początek z grafiki, grafika z rysunków, te zaś stanowią wy-padkową dwóch czynników,

ne sobie. Nie sposób widać p. Pierzgalskiej sprecyzować literacko, przydać im definicji. Gestwa roślinności a może organizm biologiczny obnażony z naskórka precyzyjnymi cięciami skalpela... Nastroj i ekspresja są środkami wyrazu dostatecznie przekonującymi. Przekonywającymi w tym sensie, że wierzymy o ich rzeczywistym istnieniu. „Można przeczytać las, śledząc tropy zwierząt na śniegu”.

To, że p. Pierzgalska nie nazywa rzeczy ostatecznie lecz je afirmuje, rozszerza je dynie niepomierne skalę ich działania, czyni je uniwersalnymi, niejako na każdą okazję. Siła oddziaływania wynika z przeżycia i zaangażowania, z wiary i nadziei. Czasem odrobina ironii lub cierpka gorzkiego smutku nie mająca jednak nie wspólnego z pesymizmem wzbogaca i zbliża nam sztukę p. Pierzgalskiej, w gruncie rzeczy bardzo poetycką.

W gobelinach wyraźnie inspirowanych grafiką, artystka osiągnęła znamienne prze-



„W samo południe”, gobelin, 1967.

jaca swobodą, odwaga czy nonszalancką na „artystyczne tworzywa” (vide Popielarczyk na przykład) za precyzją, umiarem, szlachetnością, dyscypliną, wytwornością nawet i elegancją. A przede wszystkim kłim za formą celowo wyrażającą dane treści. Znużeni jednorodnymi manifestacjami skłonni jesteśmy oddać sympatię sztuce nieco skromniejszej ale za to bardziej autentycznej, taka „mini-sztuka” dająca jednak jakąś gwarancję autentycznego przeżycia czy chociażby au-

będących ze sobą w układzie zwrótnym: szalonej wrażliwości i świata rzeczywistego. Sztuka pani Pierzgalskiej to precyzyjny wykres napięć i wibracji, to skomplikowany system nerwów i arterii przez które przepływają fale drgań i skurczów o sile ostatecznie nieujawnionej.

Tu konkret zdaje się być uludą, a efemeryczność — ulotnością — konkretem. Zdarzenie w świecie realnym i jego odbicie — wzruszenia i uczucia twórcy, są ze sobą zmieszane lub przeciwstawio-

suniecie wartości. Złagodziła ekspansywnie działanie pierwowzoru na rzecz intymności, kameralności klimatu. Te duże tkaniny są ciepłe i szlachetne, bliższe starym sztychom w swojej atmosferze niż przejmującym i drapieżnym nieraz akwafortom. Dekoracyjność ich nie jest jednak pustą estetyzacją. Wyraźny tu przykład, jak dalece zmiana tworzywa artystycznego wpływa na zmianę wyrazu tego samego tematu.

Tele-obiektyw

SPORT W TELEWIZJI

A o czym miałbym pisać w okresie olimpijskich zmaganiach w alpejskim Grenoble? Tylko o sporcie. Mamy za sobą dwa tygodnie emocji i przenoszenia się w ślad za kamerami telewizyjnymi na trasy slalomu, skoczni, toru saneczkowego i do Pałacu Sportu. Normalny program TV uległ przymusowemu ściśnieniu, przycichł, wciął się skromnie między kolejne sprawozdania sportowe.

Czy telewizja na tym swarcu? Jeżeli jest kibicem sportowym, to z pewnością przyjąłby ten stan rzeczy z zadowoleniem. A jeżeli nim nie jest? Jeżeli obojętne mu są wzruszenia towarzyszące sportowemu współzawodnictwu i nie interesują go rezultaty? Co wtedy?

Odpowiedź nie jest taka prosta. Istnieje z pewnością osoby tak głęboko przeświadczone o swym braku zainteresowania dla sportu, że nie próbując nawet przyglądać się transmisjom olimpijskim, Ci właśnie zagorzali anty-kibice mieli na pewno za złe telewizji owo okresowe zżamanie proporcji programowych na korzyść sportu.

Ale być może część telewizorów nie zainteresowanych sportem z braku innych pozycji programowych przyglądała się transmisjom z Grenoble. Myślę, że nie żałowali później czasu spędzonego przed telewizorem bo sport w telewizji to także widowisko, jak film, czy jak spektakl teatralny.

Sport ogląda się w telewizji inaczej niż w rzeczywistości. Nie każdy akceptuje atmosferę trybun podczas meczu piłkarskiego, albo hał sportowej w czasie zawodów bokserskich. Zbiorowa reakcja tłumy kibiców, głośnie dopinanie pupilów i kwitowanie gwizdem każdego sukcesu przeciwnika — nie wszystkim się podoba.

Przy telewizyjnych transmisjach sportowych działają ogólne prawa percepcji programu. Kameralny odbiór przebiegu meczu we własnym mieszkaniu łagodzi momenty ostre występujące na ekranie, odbiera kibicowaniu wszelkie cechy krwiożercze i sadystyczne, które często ujawniają się na przykład przy bezpośrednim oglądaniu meczu bokserskiego.

Czy sport w telewizji nie staje się zatem zbyt grzeszny, wygładzony, sterylny? Czy nie wyjaławia go się ze

składników najcenniejszych, z czynników nieustępliwej walki, ze wspólnego świętowania zwycięstwa, co tradycyjnie sięga w mroki starożytności?

Trzeba by raczej powiedzieć, że sport w telewizji jest inny. I wrażenia są inne. Kiedy kamera ukazywała nam zbliżenie twarzy zawodnika koncentrującego się na rozbiegu przed skokiem narciarskim, albo bolesny skurcz ust zawodniczki, która po upadku wycofała się z biegu zjazdowego, albo niepokój lyżwiarki wychodzącej na werdykt sędziowski albo wreszcie gest bramkarza hokejowej drużyny Kanady który gniewnym uderzeniem kiją wybił krawężek ulokowany przed chwilą w bramce — wówczas zdawałoby sobie sprawę że dane nam jest uczestniczyć w pewnych intymnych sytuacjach, jakich nie zapewniłby nam paszport do Grenoble. Dopuszczeni byliśmy jak gdyby do tajemnic sukcesu i porażki, do udziału w in-

dywidualnej radości, skupieniu i smutku bohaterów igrzysk olimpijskich.

Tak więc uważam, że oglądanie transmisji sportowych w telewizji może dać satysfakcję i tym wszystkim, którzy sportem w zasadzie się nie interesują. Ta pochwała sportowych widowisk TV wymaga jednak małej korekty. Dotyczy ona redaktorów prowadzących transmisje.

Z całą stanowczością można stwierdzić że żaden z aktualnie czynnych sportowców sprawozdawców TV nie ma warunków na tzw. osobowość telewizyjną. Ani Stefan Rzeszot ani Konrad Gruda, ani wielu innych. Żaden z nich nie ma walorów Zina, Treugutta czy Dziedziówny.

Pamiętam młodszą krytykę jakiejś poddano sprawozdawców sportowych TV po Olimpiadzie w Rzymie. Spółneła po nich jak woda. Zawstydzili się wtedy i wycofał jedyny sprawozdawca mający szansę stać się w tej dziedzinie osobowością: Eugeniusz Pach. Inni, gorsi, po zostali. Pozostali do dziś dnia i prezentują na co dzień swój niewysoki poziom. Nikt ich nie kontroluje, nikt nie zwraca uwagi na to że płaskie, nieciekawe komentarze przeszkadzały w odbiorze pięknych wrażeń, jakich dostarczała widowiska sportowe w TV.

Władysław Gronow

POLETKO TELE—OBIEKTYWU

Nr 10

WIELKIE BALETY I MAŁY PREZENTER. „Stary czytelnik z Łodzi” pisze do PTO: „Niektórzy redaktorzy (np. G. Lasoła) podczas emisji z telekina po prostu zasypiają. W momencie wejścia na wizję budzą się nagle, udając zmieszanie, że w tak mało odpowiednim momencie odwołano się im przerwać drzemkę”. Zgadza się z Korespondentem, że to obyczaj nie najlepszy. Wybierając jego głos o jeden przykład. Prezentor prowadzący 15.11. program pt. „Wielkie balety” pozbilił ohybą rekord braku poszanowania publiczności. Ilekroć kończył się fragment filmowy z telekina, prezentor albo dawał się uchwylić na wdziecznym popijaniu kawy, albo na zaciąganiu się papierosem. Wszystko to miało służyć wywołaniu wrażenia swobody przed kamerą. W efekcie było tylko nonszalanckie.

* * *

BRAK CZASU, CZY BRAK INWENCJI. Ten sam Korespondent stwierdza w liście do PTO: „Podczas dyskusji czy rozmów w telewizji niektórzy redaktorzy gorąco zapewniali widzów i swych rozmówców, że wiele jeszcze bardzo ciekawych rzeczy można by powiedzieć, ale niestety brak czasu...”. Czytelnik nasz stwierdza, że telewizorowie bardzo tego nie lubią. Oczywiście! Ktożby lubił szablony i banały?

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Jan Ziarnik, jeden z czołowych polskich dokumentalistów, twórca wstrząsających filmów „Powszedni dzień gestapowca Schmidta” i „Muzeum” zaprezentował publiczności swój pierwszy film fabularny pt. „WYCIĘCZKA W NIEZNANE”.

W opowiadaniu Andrzeja Brychta „Wycieczka: Auschwitz-Birkenau” znalazł Ziarnik temat, którego podjęcie stało się swoistą kontynuacją problematyki tamtych filmów. Dokumentalne „Muzeum” stanowi podstawowy punkt odniesienia dla spraw, które stają w centrum uwagi twórców „Wycieczki w nieznane”. Muzeum oświęcimskie, najstraszliwszy pozostawiony na ziemi dowód wojny i martyrologii milionów ludzi, w opowiadaniu Brychta i filmie Ziarnika stało się znakiem wywoławczym dla spraw współczesności. Analizę zostaje poddane pokolenie, dla którego tamte czasy są zamkniętym, znanym z podręczników i wspomnień ludzi dorosłych, rozdziałem historii, czasami na-

wet już tylko pustymi, nie wypełnionymi treścią słowami. Pokolenie to reprezentuje w filmie Andrzeja, młody literat, postać, która służy autorem dla dokonania oceny bardziej generalnych. Zarówno Brycht jak i Ziarnik, rysując portret współczesnego młodego człowieka, wydobywają z jego cech, których manifestacje ujawnianie stało się życiowym credo wcale, wydaje się, niemałego procentu młodzieży. W życiu Andrzeja brak określonych kryteriów moralnych i postaw społecznych, jest zaś miejsce na pozór, cynizm, małe życiowe cwaniactwo i ogarniający wszystko „wygląd”.

Wydaje się, że właśnie umiędziectwo wyboru przedmiotu jak i sposób obserwacji są najmocniejszymi atutami filmu Ziarnika. Ujawnia się to zarówno wówczas, gdy reżyser przedstawia nam Andrzeja w jego codziennym bytowaniu, jak i wtedy gdy rysuje „turytyczne” tło dla jego wędrówek

po oświęcimskim muzeum. W „Wycieczce w nieznane” Ziarnik sprawdza się głównie jako dokumentalista, gorzej radzi sobie z psychologizacją i moralną warstwą opowiadania Brychta. Proces moralny i światopoglądowy przeobrażeń Andrzeja nie znalazł w filmie pełnego ekwiwalentu wyrazu. Bezkompromisowy, drapieżny, znakomity język prozy Brychta tuższował w tekście literackim pewną płytkość psychologicznego założenia, pretensjonalność i nieporadność artystyczna filmowej wersji przeżył bohater wydobył ją na jaw. W obliczu straszliwych dowodów tego, co było, trudno wyobrazić sobie inną ludzką reakcję niż tę Andrzeja. Rodzą się jednak inne pytania, na które w filmie próżno szukać odpowiedzi. Mimo że sa momenty, gdy wydawało nam się, że twórcy próbują do nich sięgnąć. Dzieje się to właśnie wtedy, gdy pokazuje nam niemieckich turystów w Oświęcimiu i gdy Andrzej przez chwilę zjawia się na ekranie w mundurze eses-

mana. Wielkie problemy ideowe i moralne. W naszej literaturze znajduje się w „Medallionach” i w „Niemcach”, w filmie polskim głównie w „Pasażerze” i znakomitych dokumentach.

„Wycieczka w nieznane” nie dorównuje ani rangą ideową, ani artystyczną tamtym dziełom, pozostaje jednak swoistym dokumentem czasów, w których powstała. Jest przykładem tego, jak szybko najtragiczniejsza teraźniejszość staje się historią: jest dowodem tego, iż społeczna potrzeba wymaga, by pamięć tej historii nie umierała wraz z jednym pokoleniem, gdyż przeszłość znajduje zawsze swe relacje z teraźniejszością. Jest też „Wycieczka w nieznane” dość rzetelną próbą rysunku obyczajowego pokolenia tych, do których film ten głównie jest adresowany.



Usprawiedliwiona naturalnym kaleidoskopem tygodniowego repertuaru filmowego poczułam sobie przejąć do zupełnie innego, w nastroju i wadze tematu filmu. Jest nim romantyczna w tytule i treści „RZEKA BEZ POWROTU” Otto Premingera. Preminger znany w Polsce jako reżyser filmów „Czarna Carmen”, „Witaj smutku” i „Anatomia morderstwa” zrealizował w 1954 roku jedyny w swej karierze western. „Rzeka bez powrotu” jest też, jak odnotowała historycy filmu, jednym z pierwszych filmów, w którym zastosowanie kinemascopego

formatu dawało również nowe wartości estetyczne.

Reżyseria Premingera i piękne zdjęcia J. La Shelle demonstrują szanse przestrzeni filmowego kadru tak istotne w opowieści, w której przygody bohaterów warunkowane są otaczającą ich przyrodą. Film wypełniony jest pięknem pejzażu, którego dzwiczność wydaje się wartości nieinsekcjonowana. Zmiana szybkości nurtu rzeki nadaje filmowi rytm nieomal tak naturalny jak ona sama. Szeroki ekran daje bohaterom swobodę ruchów i gestów, a kolor podkreśla urodę filmowych

obrazów szczególnie mocno. Akcentuje te sprawy, gdyż pragnę się odwołać do pamięci czytelników i wspomnieć, iż „Rzeka bez powrotu” znalazła z telewizyjnej prezentacji. Trudno jednak ten film rozpoznać w wydaniu telewizyjnym. Jedyne Marilyn Monroe i Robert Mitchum mogą być znakami rozpoznawczymi, obraz na pewno nie.

„Rzeka bez powrotu” to western romantyczny w stylu i nastroju, pełen przy tym naiwnej wprawdzie, ale oczyszczającej radości i wiary w mo-

żliwość jej osiągnięcia wówczas, gdy potrafi się odrzucić ciężar własnych zrutynowanych przyzwyczajęń, przesądów i opinii, gdy potrafi się zrozumieć racje drugiego człowieka.

Smakując urok filmu Premingera, nie możemy nie myśleć z największym żalem o odejściu Marilyn Monroe, która w „Rzecz bez powrotu” jeszcze raz demonstrowała swą niepokojącą urodę i osobowość popartą dobrym aktorstwem i dużej klasy kunsztem plenskarskim.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Scena z wiedeńskiego spektaklu „Człowiek z Manchy”

„CZŁOWIEK Z MANCHY”

„Człowiek z Manchy”, musical, którego autorem jest Dale Wasserman po sukcesach na Broadwayu wystawiany był z dużym powodzeniem w Skandynawii, Hiszpanii, Izraelu i Czechosłowacji, a obecnie grany jest w Wiedniu.

Początkowo Wasserman przygotował zdramatyzowany życiorys Cervantesa dla telewizji, którego uważał jednak, że do widowni wprowadzić należy postać z głównego dzieła hiszpańskiego autora.

Powstał więc musical, do którego muzykę napisał Mitch Leigh, a teksty piosenek i pieśni — Joe Darion.

Musical w tej formie opowiada więc o powikłanych, tragicznych losach autora „Don Kichota”, a równocześnie zawiera epiody z tej słynnej powieści.

Miguel de Cervantes Saavedra (1547–1616) jeden z najbardziej oryginalnych pisarzy świata,

jak twierdzi historycy literatury, był żołnierzem, jeńcem u piratów, skąd został wykupiony, poborą zboża i oliwy, dwukrotnym więźniem podległym o nadzuchu finansowego, a równocześnie zawsze poetą, dramaturgiem i zawsze biedakiem.

W musicalu Wasserman jest scena, gdy Cervantes przebywa w więzieniu inkwizycji i ma być skazany na śmierć. Współtowarzysze niedoli urządzają nad nim prywatny sąd, oskarżając go o to, że jest „idea listą i złym poetą”. Gdy

mu to udowodnią Cervantes stracił ma wszystko. Aby ratować jedynie swe dobro, rekopis dzieła pt. „El ingenioso hidalgo Don Quijote de la Mancha” (Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manchy) Cervantes staje przed swymi sędziami przeobrażony w Don Kichota, a ze swym sługą, śpiewa w takt muzyki opowieść o tragicznych losach rycerza z Manchy walczącego z wiatrakami, a scena ta jest podobna tak wzruszająca, że widownia wybuchła szlochem.

MOZART W STU DZIESIECIU TOMACH

Ukazało się już w druku 50 tomów krytycznego wydania dzieł Mozarta. Pełne wydanie zawierać ma sto dziesięć tomów. Jeden z ostatnich tomów z tych, które już się ukazały, zawiera m. in. „Caro, se le mie pone” zapis melodii niedawno dopiero odkrytych oraz utwory z czasów pierwszego podróży do Włoch (1769–1771).

Wydawnictwo Bärenreiter w Kassel, które dziesięć lat temu przystąpiło do wydawania dzieł Mozarta, przewidując, że „Don Giovanni” ukaże się na wiosnę bieżącego roku.

PAUSTOWSKI HONOROWYM OBYWATELEM TARUSY

Konstantin G. Paustowski otrzymał honorowego obywatela miasta Tarusy.

Godność ta została mu przyznana za wielki wkład w kulturalne życie miasta, z którym związana jest twórczość Paustowskiego.

TRUBADUR Z LUTNIA

„Journal de Genève” informuje o nowoczesnym trubadurze, który jeżdżąc autem odwiedza szereg krajów europejskich, daje występy artystyczne, śpiewając pieśni i akompaniując sobie przy pomocy starożytnego instrumentu, lutni. René Zosso, bo tak się nazywa ów wędrujący śpiewak, ma w swym repertuarze średniowieczne pieśni francuskie, ale śpiewa również teksty poetów współczesnych.



Grający na lutni. Sztuka Jacquesa Callota.

Elvanda, Aragona, Viana. Recital w Genewie odbywał się w Muzeum Dawnych Instrumentów, a dla wiecznego nastroju — przy blasku świec.

Zosso chętnie opowiada o swym ulubionym starożytnym instrumencie, lutni. W jedynastym wieku lutnia była chętnie używana w kościołach, na równi z organami. W wiekach średnich lutnia była też typowym instrumentem trubadurów,

wędrownych śpiewaków, wystawiających miłość i czyny bohaterskie. Zosso twierdzi, że lutnia nie jest bynajmniej instrumentem przestarzałym. Za don zresztą instrument nie jest, jego zdaniem, przestarzały, przecież i Beatlesi posługują się instrumentem znanym już dwa tysiące lat temu Indianom.

KRADZIEŻ OBRAZU REMBRANDA

Jeden z obrazów Rembrandta zginął ostatnio z Muzeum Fotograficznego w Rochester w Stanach Zjednoczonych. Płótno o rozmiarach 96 na 72 cm. przedstawiające młodego mężczyznę, oceniane jest na 100.000 dolarów.

Dzieło zostało odfotografowane niedługo uniwersytecie w Rochester przez Georga Eastmana, założyciela firmy „Kodak”. Ostatnio Muzeum Fotograficzne wypożyczyło z uniwersyteckiego obraz i tu w siedzibie Muzeum, mieszczącego się w dawnej rezydencji Eastmana, dzieło zostało skradzione.

CENTRUM KULTURALNE JM. RIMBAUDA

W Charleville-Mézières, mieście rodzinnym Rimbauda, staraniem pisarzy tego regionu i stowarzyszenia miłośników twórczości Rimbauda powstał ośrodek kulturalny nazwany „miejscem poety”. Zadaniem powstałego ośrodka będzie szerzenie wiedzy o życiu i twórczości Rimbauda, a zwłaszcza udostępnienie naukowcom wszelkich dokumentów związanych z życiem i działalnością wielkiego poety.

OPERA „PUSTELNIA PARMENSKA”

W Grenoble, mieście Stendhala, w czasie obecnych Igrzysk Zimowych Olimpiady grana jest w Teatrze Miejskim opera oparta na jednym z najbardziej znanych dzieł tego autora „Pustelnia Parmeńska”.

Autorem opery jest kompozytor Henri Sauguet, a libretto napisał Armand Lunel.

Kompozytor ukończył prace nad operą w roku 1936. Po raz pierwszy wystawiona była w Tuluzie w roku 1939.

DWA JEDNAKOWE OBRAZY REMBRANDA I RUBENSA

Dwumastoletnia uczennica leningradzka, Irina Linnik bardzo lubiła obrazy Rembrandta. Często po szkole wybierała się do koleżanek i kolegów, w kółku miłośników malarstwa, brać udział w zajęciach. W roku 1956, mając już dyplom wyższej uczelni przekroczyła progi gabinetu słynnego znawcy sztuki zachodnioeuropejskiej Władimira Lewinsko-Lessinga.

„Pragnęłabym — odesłać się Irina — pracować w Ermitażu i zajmować się Rembrandtem”. „Rembrandtem?” — zdziwił się uczony. Od razu Rembrandtem? Sądził, że Irina powinna mieć przedtem jakąś dłuższą pracę przygotowawczą. Irina przyjęła została jednak do pracy w Ermitażu. Codziennie udając się do pracy, przechodziła przez pomieszczenie, gdzie były plótna nieprzeznaczone do ekspozycji. Wśród nich znajdował się obraz, o którym wszyscy sądzili, że jest jedynie kopią dzieła Rembrandta. Oryginał tego dzieła zatytułowany „Pokłon Królów” znajdował się w Szwecji, w Göteborgu. Irina Linnik przypatrzyła się uważnie kolorystyce plótna w Ermitażu coraz bardziej dochodziła do przekonania, że obraz nie jest kopią. Postarała się o dokładne reprodukcje „Pokłonu Królów” z Göteborga i porównując je z rzekomą kopią udowodniła wkrótce, że to obraz nie jest kopią. W Ermitażu jest właśnie oryginał, zaś plótno w Göteborgu jedynie jego kopia. Wynik odkrycia Iriny potwierdził światowej sławy profesor Kurt Bauch z Göteborga. Orzekł on, że obraz w Ermitażu jest oryginalnym dziełem Rembrandta.

Ostatnio w Paryżu odkryto obraz Rubensa, który jak dotąd nie figurował w żadnych katalogach. Historia tego obrazu jest dość ciekawa. Otóż niejaką Adela Reyman zakupiła w roku 1951 w jednej z galerii paryskich obraz Rubensa przedstawiający św. Jerzego pokonującego smoka. Nabywczyni zapłaciła za plótno 41 tysięcy starych franków. Znałszy sztukę po dokładnych badaniach ustalili, że jest to bezwzględnie dzieło oryginalne. Wtedy to Reyman zleciła jednemu z pośredników zajmujących się handlem obrazami, aby sprzedał dzieło Rubensa za dwa miliony nowych franków. Pośrednik był jednak oszustem i obraz przepadł. Adela Reyman wystąpiła na drogę prawną i zaczęła się poszukiwania skradzionego obrazu. Nie dawno, bo w roku 1967 dzieło odnaleziono u jednego z konserwatorów paryskich. Stwierdzono, że plótno jest niewątpliwie jednym z dzieł Rubensa i to z najlepszej okolicy jego twórczości. Tymczasem przypomniało sobie, że na dworze królewskim w Anglii znajduje się niemal identyczny, różniący się jedynie w szczegółach obraz Rubensa. Wśród wybitnych historyków sztuki powstał więc spór o to, które z plócien wyszło spod pędzla Rubensa, a które jest kopią. Znałszy skłaniając się jednak coraz bardziej do przekonania, że obydwa obrazy są oryginalne i że najprawdopodobniej są to po prostu dwie wersje tego samego dzieła. A zatem i obraz w Londynie i ten w Paryżu są najprawdopodobniej oryginalne.



MARIA TYMOWSKA

Cmentarz

Autobus pnie się w górę, mijając kręte, wąskie uliczki, przy których stoją schłodzone domki, każdy otoczony małym ogródkiem, wszędzie kwiaty — rozkwitłe właśnie tulipany, żonkile, konwalie.

Przystanek na małym ryneku przy kościele, w drzewach dwóch mężczyzn żywo dyskutuje. Wewnątrz, jak zresztą wszędzie we Francji, grająca szafa i rodzaj bilardu, tylko że celem bili jest ucieleśnianie kowy, a jeszcze częściej naga piękność. Bufet dobrze zaopatrzonego w różnego rodzaju trunki, których pozaresztą mogą nasze Delikatessy.

— Ktoś tu na cmentarz? — pytamy stojącego za ladą petrona.

— Na który? — wtrąca się człowiek stojący w drzwiach — na polski bardzo blisko. Pod górę i w lewo — ręka wskazuje kierunek.

Za rogiem na lewo długi, kamienny mur. Za nim wciśnięty w miasteczko cmentarz. Biała brama otwarta szeroko. Na murze u wejścia duża tablica. Od czwartymy długie kolumny nazwisk. Same polskie, znane dobrze z historii, nazwiska generałów, żołnierzy napoleońskich, kościuszkowskich, nazwiska dyplomatów, poetów, malarzy. Ten cmentarz w miasteczku francuskim, Montmorency — to „punkt zborny” polskich emigrantów. Jego historia trwa. Długo wykazywał nazwiska na murach francuskiego cmentarza zamykającego niedługo dramat żołnierskiego życia.

W takim przedziwnym sposób francuskie Montmorency związane nie zostało tak mocno z naszą historią?

Michelin — nieoceniony przewodnik każdego turysty, z którym nie rozstaje się nikt zwiedzający Francję, podaje: „Montmorency, w departamencie Seine-et-Oise, miasteczko odległe od Paryża o 18 km”. I dalej... „przez wiele wieków było Montmorency własnością wielkiego rodu Enghien, który Franciszka Kapetyngów, Waleczusów i Burbonów dał sławnych marszałków admirałów, konstabłów”.

Tyle Michelin. I to jest francuski aspekt miasteczka. Dla nas Polaków Montmorency ma aspekt inny.

W zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu oglądać można obraz podpiłki generała Książewicza — Montmorency wśród wisińskich sądów.

Mieszkał generał tuż pod lasem. Krajobraz przypominał mu Polskę, tu pomagał innym, tu marzył i tęsknił. „Jaki przyjemnie oddychać czystym powietrzem, słuchać śpiewania ptaków, com je ostatni raz słyszał lat temu wiele w Ursynowie. Jak miło po tylu latach patrzeć na rozległą dolinę... ale najmilszą ze wszystkich jest towarzystwo starego druha Książewicza” — wspomni na Niemcewicz, który tu niebawem zjechał. Po nim zjawiają się ci, których nazwiska odczytać można na cmentarnej tablicy: Michałowski, Zagłowski, Witwicki, Orłowski, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa i jej mąż Karol. Gros pierwszy tutaj malarz... Zjechał do Niemcewicza Mickiewicz, któremu Montmorency tak żywo przypomina Litwę, Delfina Potocka, Chopin. Niemcewicz pisze o nim... „Jest z nami jeden z pierwszych pianistów w Europie, wesoly, dowcipny, umiający podziwiać każdego”.

W 1841 roku pierwszy na cmentarz spoczął Julian Niemcewicz. W rok po nim generał Książewicz, którego do grobu odprowadzał batalion piechoty

francuskiej i wszyscy, kto tylko mógł — z emigracją.

Posypały się groby, jak sypani się goście: generałowie Dembiński, Dąbrowski, historycy i literaci zasłużeni dla kultury polskiej we Francji: Karol Sienkiewicz, który obok Adama Czartoryskiego, Niemcewicza i Książewicza jest założycielem Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Od tej chwili cmentarz Montmorency stał się cmentarzem polskim. Gdy parę lat temu mer miasta zapytał konserwatora cmentarza Gastona Portiera, dlaczego daje pierwszeństwo Polakom przy uzyskiwaniu koncesji trudnych do zdobycia, Portier odpowiedział: „bo oni są tu u siebie!” („Ils y sont chez eux”).

Stal się cmentarz tak bardzo polski, że z dalekich stron sprawiali emigranci trumny swoich bliskich. Klauzie Potocki przeniesiono tu ze Szwajcarii. Ostatnie lata spędził Norwid na 34-letniej podróży w rodzinny grobie. Jako pierwszy cze były słowa poety. „Pielęgniarki polski byłoby bogaty, a oto cierpię ubóstwo i nędzę, aby poznać co jest ubóstwo i nędza, a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Ubodzy i Nędzarze współdziedzicami moimi są”. Samotny Norwid znalazł przyjaźni, którzy go z obcego kraju przetransportowali do Montmorency. Ostatnie lata spędził Norwid w przytulnym mieszkaniu, przez polskie zakonnice, w Zakładzie św. Kazimierza. Dla polskie siostry prowadziła dalej ten przytułek. Spełniała w nim samotną, emigrancką starość, ci, co do Polski nie mają powrotu. Ich ostatnia droga znalazła kres w Montmorency. Przyl. Chevaleret niewiele się zmieniło, od tamtych norwidów śledzi lat, tu czas się zatrzymał. Tylko kręte drzewniane schody starzyzna bardziej pod kroknami rodziców odwieczają...

cyh izba, w której Norwid żył i pisał. Wszystko pozostało tu tak jak w dniu, w którym Norwid odszedł, stary forte, na którym zasnął, by nie obudzić się więcej... niedokończony rysunek... na białej wapiennej ścianie krzyż i karabela. Drzwi norwidowskiej izby wychodzą na długi bardzo wąski korytarz. Wraz z przytulkiem uwięził go Norwid w słowach:

„Patrz — oto tam i ówdzie mało pokazuje mury. Wąjdz — ma się pod wieczór, niemiabyś może. Eż na Malecie w rakonu gdzie ryżarskiego ostatku... tu, tam — żutalates się... tu, tam — uchylone ci drzwi ukazują rdzawą na murze szablę lub groźny i smutny profil. O mało nie stuletni ówdzie mały w konfederacie, jak cieni Niedolanej chorągwi przy narodowym pogrzebie. Przeszedł zimno mimo i zgasł w długim jak nieścisła korytarz”.

Bliznę naszych czasów Ignacy Paderewski, wyrażał kilkakrotnie życzenie, by gdziekolwiek umrze, zwłoki jego przeniesiono do Montmorency. Jak dotąd pragnienie tego nie zostało spełnione.

W latach późniejszych na cmentarz w Montmorency spoczęli wśród innych — malarz smutnych dzieł — Makowski i jeden z najlepszych polskich portrecistów Ogi Boznański.

Od czasów Wielkiej Emigracji po dzień dzisiejszy, w dolach 21 maja i 7 września, wszyscy Polacy mieszkający we Francji przybywają do Montmorency, by złożyć hołd pamięci spoczywających tutaj rodaków.

Lata ostatniej wojny upamiętnia Polonia francuska fundacją tabliczek tym, których śmierć doległa w obozach koncentracyjnych i na polach walki w różnych krainach świata. Wresztem, których groby rozproszono są po świecie, nie-

dostępne i zapomniane, ofiarowano tablice na murach smutnego, duża, biała upamiętniająca śmierć generała Władysława Sikorskiego, obok niego wspomnienie podporucznika Andrzeja Poniatowskiego, poległego w Holandii. Strasznie Polak, potomek bohaterskiego księcia Józefa, mimo, że słowa po polsku nie umiał zginął walcząc w szeregach polskich.

„Odczytano to wielki, zbiorowy obowiązek!” czytamy napis na grobie Norwida.

Wracamy do miasteczka. Jak nas informuje ktoś spotkany na drodze, również w kościele znajdują się polskie pamiatki. Często chcieliśmy zobaczyć tutaj ci, którzy francuskie Montmorency tak mocno z Polską związa-

W kościele nagrobek Adama Czartoryskiego. Tragiczna postać naszych dziejów... Czartoryski postawił na fałszywej karcie... nie wrócił do Polski, na zawsze pozostał w Montmorency.

Dzisiaj sobota. Zwycajtem francuskim dzień świąt. Od otwartych odchodzi młoda para. Wraz z gośćmi weselnymi opuszczamy kościół. Ślubny orszak zajmuje miejsce w przystrojonym białym samochodzie. Białe kokardki na antenach, klamki i inne części wozu przybrane białym tiulem. Orszak za orszakiem wchodzi do kościoła, w tym sobotnim dniu ślubu odbywa się ślub.

Patrzmy na kościół, którego mury wzniesione na wzgórzach, pamiętają czasy feudalów i tych co w tym zakątku Francji znaleźli skrawek Polski czy Litwy.

Spod murów kościoła roztacza się szeroki widok na dolinę. Tym co jej piękno odkryli stała się miasteczka ożywna.

I to jest polski aspekt Montmorency.

BEZ STRACHU

S-E-N

Sięło mi się, że jestem pułkownikiem. Miałem piękny mundur i byłem przy szabl. Dowodziłem oddziałem partyzantów, a zadaniem moim było zniszczenie niemieckiego pociągu. Staliśmy na kwadransie tuż przy torze kolejowym — zmęczeni żołnierze leżeli pokodem na podłodze, spali snem tak głębokim, że mój sen przy ich snach był jawa, w której mogłem działać. Przypomniała mi się właśnie Prywatna Sprawa, która mogła załatwić w niedalekim miasteczku. Wyjechałem do miasteczka ciężarówym samochodem, przy kierownicy siedział wierny mi ordynans. „To nie jest zdrada”, mówiłem do siebie. „Zdaję załatwić Prywatną Sprawę i powrócę przed akcją — to nie jest zdrada, to nie jest gwałt”. W istocie przyjechałem do miasteczka i pomysłnie znalazłem Prywatną Sprawę. Wracałem w szalonym pędzie — zdążyłem, pociąg jeszcze nie nadjechał — moi żołnierze ciągle leżeli na podłodze i spali kamiennym snem. Czas już najwyższy przystanę i oddać do akcji. Począłem ich budzić, krzychałem — chwyciłem śpiących za ramiona, potrząsałem nimi, ani jednego nie zdołałem przebudzić. Próby budzenia trwały dłużej niż wszystkie — sny moich nocy i były daremne. Śpiący żołnierze wypadali mi z rąk jak kamienie. Usłyszałem łoskot zbliżającego się pociągu, krzychałem i płakałem — strzelilem nawet z pistoletu — oni spali coraz głębiej. Pociąg przejechał bezkarnie. Usiadłem obok śpiących na podłodze — nie miałem już siły na krzyk — resztę pozostałej nocy energię użyłem na płacz. Odpadłem bezużyteczna szablę. Wtedy ktoś ogromny przemówił nade mną. „To twoja wina, pułkowniku — nie trzeba było jechać w Prywatnej Sprawie” — cicho zdążyłem na czas — powróciłem na czas — to ich wina, zasłonił zbyte głęboko i nie pozwolili się obudzić. „To twoja wina i fakt powrotu nie zmniejsza twojej winy. Ponieważ ty odjechałeś — oni pogiębili swój sen. Gdybyś został, zdążyliby ich obudzić”. Zrozumiałem, że każdy z moich żołnierzy miał własną Prywatną Sprawę — Prywatna Sprawa każdego z nich był sen. To tylko jeden z moich snów — sen o śnie innych przysnionych ludzi. Moje sny mnie oskarżają, moje sny to punkty aktu oskarżenia — doreczanego mi etapami, abym miał czas na przygotowanie obrony. Wiem o tym, i na nocnym stoliku leży zeszyt i ołówek, natychmiast po obudzeniu zapisuję sny — notuję też przyszłe tezy obrony. W stanie pełnej codziennej jawy, nikt mnie nie oskarża, oskarżenia przychodzą w nocy — nie wiem czy oskarżenie, obrona i wyrok nastąpią w stanie snu czy w stanie jawy, nie wiem też kiedy nastąpi wykonanie wyroku, ponieważ mimo przygotowania obrony wiem, że jestem winny, i że zostanie skazany. To ja za bitem wszystkich umarłych, których śnie po nocy, to ja nie pospieszyłem z pomocą tym, którzy wali pomoc. Obolętnie śniłem chorych, głodnych i przerażonych — tłumaczyłem sobie, że to wszystko sny — tylko sny. czyż sny? Być może wyrzół zostanie wykonany w tej małej nocy — szczególnie między snem a jawa... o której pamiętam tylko nie kiedy. Wiedziałem do ręki reszty moich snów i skreślałem uwagi przeznaczone dla przygotowania obrony. Nie będę się bronił — to oczywiste, że festem w dzień — nie wierze w złe sny po obfitej kolacji. Nie wierze w sny jako dramatyczne przedstawienie cięlesnych doznań i cierpienia — sny to jawisko kategorii moralnej, a próba innego ich tłumaczenia to ucieczka przed odpowiedzialnością. Jeżeli znajdzie się ktoś ze snu czy też z jawy, kto potrafi i zechce mnie bronić, niech to robi na własną rękę — ja sam nie będę się bronił, bowiem wierze we własną winę. Wszyscy są winni, gdyż wszyscy śnią.

BERNARD SZTAJNERT

JANKA

We wtorek, chociaż o dość późnej porze udałem się do Janiny. Przyznała, że zadzwoniła mnie trochę towarzysko, jak tam zastałem. Był tam rzeczywiście wyjątkowo zespół pisarzy malarzy i poetyków, aktorów, wielkich dam i słynnych piękności. Pani Tower miała rację: to było wspaniałe przyjęcie; nie widziałem nie podobnego od czasu gdy dom Stafford House został sprzedany. Nie przewidziano żadnych specjalnych rozrywek. Poczęstunek był wystarczający, ale nie zbyt bogaty. Janina zdawała się dobrze bawić na swój spokojny sposób: nie mogłem zauważyć, aby zajmowała się specjalnie gośćmi, ale ci zdawali się czuć u niej dobrze — i wesołe miłe zebranie zakończyło się dopiero o godzinie drugiej nad ranem. Potem widywałem się z nią często. Niezbyt wiele razy byłem w jej domu, ale rzadko zdarzało mi się iść na prośzone śniadanie lub obiad, by jej nie spotkać. Jestem wielbicielem humoru i starałem się wybać w czym leży jej szczególny dar. Sądziłem, że humor jej był podświadomym i jestem pewny, że nie był on z góry przygotowany. Skakał jak motylek z kwiatka na kwiatek, posłuszny tylko swemu własnemu kaprysowi, nie stosując się do żadnej metody, ani do z góry powziętego za miaru. Zależny był od sposobu jej mówienia i od sposobu jej patrzenia. Jego subtelność wzmagala się przez śmiały i ekstrawagancki wygląd, jaki stworzył dla niej Gilbert, ale wygląd był tylko jednym z jego części składowych. Teraz, naturalnie stała się już modną i ludzie zaśmiewali się tak tylko, otworzyła usta. Nikt się już nie dziwił temu, że Gilbert ożenił się z kobietą o tyle od niego starszą. Przekonał się, że Janina jest kobietą, dla której wiek nie ma znaczenia. Uważał, że jest diablo szczęśliwym młodzieńcem. Gdy poznałem go lepiej, zacząłem go lubić. Była zupełnie jasna, że nie był on ani fałdkiem ani poirującym na pieniądze. Był nie tylko niesłychanie dumny z Janiny, ale również — szczerze do niej przywiązany. Jego serdeczność dla niej budziła wzruszenie. Był młodzieńcem o łagodnym usposobieniu i nie egoista.

— No, cóż pan teraz sądzi o Jance? — zapytał mnie raz z chłopięcym triumfem.
— Nie wiem, które z was

jest bardziej niezwykłe — odpowiedziałem — pan, czy ona.

— O, ja jestem niczym.
— Nonsens. Nie sądzi pan chyba, że jestem takim głupcem, aby nie wiedzieć, że pan tylko pan uczynił z Janiny to, czym ona jest obecnie.

— Moją jedyną zasługą jest, że dostrzegłem jej walory wówczas jeszcze, gdy nie były one dostrzegalne gołym okiem — odpowiedział.
— Rozumiem, że zauważył w niej pan dane dla tego niezwykłego wyglądu, ale w jaki sposób zrobił pan z niej kobietę dowcipną?
— Ale ja zawsze uważałem, że to co ona mówi jest szalenie śmieszne. Zawsze była dowcipna.

— Jest pan jedyną osobą, która tak myślała.
Pani Tower (co nie było pozbawione wielkoduszności) przyznała się, iż fałszywie oceniła Gilberta. Bardzo go nawet polubiła. Ale na przekór pozorom, nie zmieniła opinii, że małżeństwo to nie potrwa długo. Musiałem się z niej śmiać.

— Nie widziałem jeszcze nigdy bardziej oddanej sobie parę — przekonywałem ją.

— Gilbert ma teraz dwadzieścia siedem lat. Akurat pora, by zakończył się w jakiejś pięknej młodej dziewczynie. Czy pan zauważył niedawno u Janki tę piękną siostrzenicę sir Reginalda? Zdawało mi się, że Janka przypatruje się obojemu bardzo uważnie — i uderzyło mnie to.

— Nie zdaje mi się, aby Janina obawiała się czyjejkolwiek rywalizacji.

— Niech pan tylko poczekaj — rzekła pani Tower.
— Mówiła pani o sześciu miesiącach...
— No, a teraz mówię o trzech latach.

Pewnego dnia otrzymałem od pani Tower pilne wezwanie i, na szczęście zaraz do niej poszedłem. Gdy wprowadzono mnie do pokoju, pani Tower podniosła się z krzesła i zbliżyła się ku mnie z czającą się szybkością tygrysa, wesołego zdołby. Zauważyłem, że jest zdenerwowana.

— Janka i Gilbert rozeszli się — rzekła.
— Nieprawda! No... ostatnie miała pani rację.

Pani Tower spojrzała na mnie z wyrazem któregoś nie zrozumienia.

— Biedna Janina — szepnęła.

— Biedna Janina — powtórzyła, ale tak drwiącym tonem, że nie wiedziałem co myśleć.

Z pewną trudnością przychodziła jej dokładne opowiedzenie mi, co mianowicie się stało.

Gilbert dopiero co odszedł w chwili, gdy skoczyła do telefonu, aby mnie wezwać do siebie. Gdy wszedł do pokoju, błąd i roztrzęsiony, zobaczyła od razu, że stało się coś okropnego. Wiedziała, co powie, zanim jeszcze usłyszała jego słowa.

— Marion, Janka ode mnie odeszła.

Uśmiechnęła się do niego i wzięła jego rękę.

— Wiedziała, że zachowasz się, jak gentleman. Byłoby to okropne dla niej, gdyby ludzie pomyśleli, że

— Ale to naturalnie ty odchodzisz od Janki?

— Ja? To jest ostatnia rzecz, jaką bym mógł uczynić.

— A więc czemu rozodził się z toba?

— Ma wciąż za męża za sir Reginalda Frobishera, jak tył go rozwód stanie się prawomocny.

— I po tym wszystkim coś dla niej zrobisz?

— Nic dla niej nie zrobię.

— Czy chcesz powiedzieć, że pozwolisz, aby cie wykorzystał w taki sposób?

— Umówiliśmy się przed ślubem, że jeżeli którekolwiek z nas zechce otrzymać wolność, druga strona nie będzie przeszkadzała.

— Ale to nie było zrobione ze względu na ciebie! Dlatego, że byłeś młodszy od niej o dwadzieścia siedem lat.

— No, ale jej się to bardzo przydało — odpowiedział z gorczy.

Zostawił panią Tower pra-

wer coñęła się z lodowatą godnością.

— Gilbert tu był — rzekła.

— Tak, wiem — uśmiechnęła się Janka — powiedziała mi, aby tu przyszedł. Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam do Paryża i chciałabym, abyś była dla niego bardzo serdeczna podczas mojej nieobecności.

Pani Tower klasnęła w ręce.

— Gilbert powiedział mi coś, w co po prostu trudno uwierzyć. Powiedział, że rozwiedziesz się z nim po to, by poślubić Reginalda Frobishera.

— Czy nie przypominasz sobie, że zanim wyszłam za Gilberta, radziłaś mi, abym poślubiła człowieka w moim wieku? Otóż admirał ma pięćdziesiąt trzy lata.

— Ależ Janko, zawdzięczasz przecież wszystko Gilbertowi — rzekła pani Tower z oburzeniem — nie istniałabyś bez niego. Bez model sukien, które dla ciebie rysował byłabyś niczym.

— Oh, on mi przyrzekł, że w dalszym ciągu będzie mi rysował wzory — odpowiedziała słodko Janina.

— Żadna kobieta nie mogłaby pragnąć lepszego męża. Był dla ciebie zawsze uosobieniem dobroci.

— Oh, ja wiem, że był kochany.

— Jak możesz być tak pozbawiona serca?

— Ależ ja nigdy nie kochałam się w Gilberta — rzekła Janina — zawsze mu to mówiłam. Zaczynam od-

czuwać potrzebę towarzysztwa człowieka w moim wieku. Myślę, że prawdopodobnie zbyt długo byłam żoną Gilberta. Młodzi ludzie nie potrafia rozmawiać — zatrzymała się na chwilę i obrzuciła nas oboje uroczym uśmiechem.

— Ma się rozumieć, że nie stracę z oczu Gilberta. Wszystko to już załatwiłam z Reginaldem. Admirał ma siostrzenicę, która będzie akurat odpowiednia dla niego. Jak tylko pobierzemy się, zaprosimy ich do siebie na Maltę — wiecie, że admirał ma dostać dowództwo na Morzu Śródziemnym — i nie zdziwiłabym się wcale, gdyby zakochał się w sobie.

Pani Tower pociągnęła nos.

— A czy umówiłaś się z admirałem, że jeżeli którekolwiek z was zażąda od-

zyskać wolność, druga strona nie będzie robić trudności?

— Zaproponowałam to — odpowiedziała Janina całkowicie opanowana — ale admirał powiedział, że poznał się na dobrej rzeczy, gdy ja widzi i że nie zechciałby po-

ślubić żadnej innej kobiety, co się zaś tyczy mnie — jeżeli ktoś zaproponuje mi małżeństwo, będzie miał dwunastocalowe armaty na swoim okręcie i pomówi w tej sprawie na bliską odległość. Spojrzała na nas z swego monokla w taki

sposób, że nawet obawa gniewu pani Tower nie mogła mi przeszkodzić roześmiać się.

— Mam wrażenie, że admirał jest bardzo gwałtowny.

Pani Tower rzeczywiście rzuciła mi gniewne spojrzenie.

— Nigdy nie uważałam cię za dowcipną, Janko — rzekła — nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu ludzie śmiali się z rzeczy, któreś mówiła.

— Sama nie uważałam siebie za dowcipną, Marion — uśmiechnęła się Janka, pokazując białe, regularne ząbki zadowolona jestem, że wyjadę z Londynu, zanim jeszcze zbyt wiele osób podzieli naszą opinię.

— Chciałabym, aby pani ujawniła mi tajemnicę swego zdumiewającego sukcesu — wturciłem.

Zwróciła się do mnie ze spokojnym, słodkim uśmiechem, jaki znałam tak dobrze.

— Wie pan, kiedy poślubiłam Gilberta i przewiechałam do Londynu i kiedy ludzie zaczęli śmiać się z tego co mówiłam — nikt nie był z tego powodu bardziej zdziwiony, niż ja. Mówiłam akurat to samo przez trzydzieści lat — i nikt nigdy przedtem nie widział w tym nic zabawnego. Myślałam, że to może moje suknie, albo monokl, albo obcięte włosy...

Aż tu nagle odkryłam, że powodem tego było to, iż mówię prawdę. Było to tak niezwykłe, że aż ludzie uważali to za zabawne. Niedługo może ktoś inny odkryje tę tajemnicę, a jeżeli ludzie w ogóle zaczną mówić prawdę, nie będzie już w tym nic zabawnego.

— A czemu ja jestem jedy-

na osobą, która nie uważa tego za zabawne? Janina zawahała się przez chwilę, jak gdyby naprawdę szukała zadowalającej odpowiedzi.

— Możliwe jest, że nie poznajesz prawdy, gdy ją widzisz, droga Marion — odpowiedziała swoim łagodnym, dobrodusznym tonem.

Nie ulega wątpliwości, że miała ostatnie słowo. Czulem, że Janina zawsze będzie miała ostatnie słowo. Rzeczywiście była niezrównana.

Przeł. B. K.



to ty właśnie odszedłeś od niej.

— Przyszedłem do ciebie, bo wiedziałem, że mogę liczyć na twoją sympatię.

— Oh, nie robię ci wyrzutów, Gilberte — rzekła pani Tower bardzo łagodnie — to się musiało stać.

Westchnął.

— Tak myślę. Nie mogłem mieć nadziei zatrzymania jej na zawsze. Była zbyt wspólna, a ja jestem zupełnie zwyczajny człowiek.

— A teraz co się stanie?

— No cóż? Rozwiedzie się ze mną.

Pani Tower była zakłopotana.

wie nieprzytomna. Ulgę jej sprawiło to, iż mogła mi zdać dokładne sprawozdanie z tej rozmowy. Z przyjemnością przekonała się, że jestem nie mniej od niej zdumiony, a fakt, iż nie obrażałem się na Janinę tak, jak ona — przypisywała krwinnemu brakowi moralności, charakteru, który nie mógł być jej wadą. Znajdowała się wciąż jeszcze w stanie niesłychanego zdenerwowania, gdy otworzyły się drzwi i lokaj wprowadził — sama Janina.

Była jak zwykle opanowana i spokojna. Postąpiła na przód z zamiarem ucałowania pani Tower, ale pani To-

logi. Bardziej wyrównane co do wielkości i wystroju, zdemokratyzowane, powtarzające się prawie identycznym układem graficznym i nawet doborom słów. Wyrażenie współczucia znajomym, kolegom, przyjaciółom z powodu straty kogoś bliskiego jest niewątpliwie aktem bardzo ludzkim, cennym, potrzebnym. Nekrolog w prasie jest zewnętrznym, publicznym wyrażeniem współczucia. Niedobrze, kiedy nasuwa myśl, że jest także czymś innym. A taka myśl narzuca się mimo oporów, na przykład wtedy, kiedy czytamy, że grono pracowników jakiegoś tam instytucji głęboko ubolewa nad faktem, że ich naczelnik stracił teściową, albo szwagra, albo zięcia. Takich ogłoszeń jest dużo.

Dużo też jest instytucji, w których mogłaby się zdarzyć taka rozmowa dyrektora naczelnego z małutkim referentem: Znowu nie pomyśleliśmy o nekrologu. Zjednoczenie Z już dało, Centrala N też, nawet Zrzeszenie X jest przed nami. Jak my wyglądamy?

Kolumny pism, poświęcone ogłoszeniom o rozprawach doktorskich, o zamianie samochodów i o zgonach wyglądają smutno. Oczywiście, są potrzebne. Muszą istnieć, c'est la vie. Ale życie ma i wesele strony, dlategoż by nie dopuścić ich do głosu?

Z prawdziwym wzruszeniem przeczytałem w „Życiu Warszawy” jedną z odpowiedzi na ankietę redakcji, co należałoby w piśmie poprawić. Oto obywatel Jan Mar z Paczkowa prosi o „sprawozdania ze stołecznych balów, redukt, studenckich zabaw, ale z wymienieniem i opisem toalet i ich czarownych nosicieli, poza tym nowinki o ślubach znanych osób, no i nowo narodzonych potomków”. Taka „demokratyczna kronika towa-

ryska”. Dlaczego mamy współczuć publicznie w nieszczęściu, a nie cieszyć się publicznie czyjąś radością? Dlaczego — jeśli już piszemy od wielkiego dzwonu o ślubach, rozwodach i narodzinach — to wyłącznie w odniesieniu do gwiazd filmowych i niektórych modnych piosenkarzy? Cóż to za niedemokratyczny przywilej? A gdyby tak w jakimś piśmie łódzkim:

„Ob. Naczelnikowi magistratu inżynierowi Zenonowi Tupajowi serdeczne gratulacje z okazji narodzin siostrzeńca składa Rada Zakładowa i Koło Ligi Kobiet przy...”

Albo: „W ubiegłą sobotę, w świetlicy własnej Zakładu Spawalnictwo-Wiertniczego numer 3 w Łodzi, odbyła się uczna redukt z udziałem (wymienić czyli). Uroczę prezentowała się zuluszcza Główna Księgowna w sukni z błękitnego coursed-molle, głęboko wciętej i wysoko podciętej, zdobnej naszytym z oryginalnych biurowych spinaczy i pinesek. Gratulujemy!”

Albo jeszcze inaczej: „Cała załoga Centrali NNN zawiadamia z radością, że Dyrektor Jan Chrzyszcz udał się po raz szesnasty w roku bieżącym za granicę, po szczęśliwym zakończeniu pobytu w Wypoczynkowym Domu Pracy w Zakopanem. Petyn niewątpliwych sukcesów powrót nastąpi w dniu (podać o miesiąc późniejszy od przewidywanego, bo sprawy są trudne)”.

Oczywiście, w każdej instytucji trzeba będzie zatrudnić odpowiedniego referenta. Ale będzie to referent, który naprawdę miałby coś nowego do działania. I prasa byłaby o wiele chętniej czytana, i przywróciłibyśmy na jej łamach zdrową równowagę radości życia i — żalobę.

CWIEK



Lewym
okiem

PRZYWRÓCIĆ ZDROWĄ RÓWNOWAGĘ!

Wejścia do wszystkich, jakże licznych, kościołów krakowskich oblepienie są setkami nekrologów. Jest to jeden z charakterystycznych szczegółów obyczajowych tego miasta, bo przecież ludziska umierają i w Warszawie, i w Łodzi, a takich ogromnych tablic z ogłoszeniami o zgonach ani w Łodzi, ani w Warszawie nie ma. Przed tablicami stoją krakowskie staruszki i panowie w cwikierach, stoją długo, wyszukują znajome nazwiska, kłują głowy. — Jeszcze nie ja! — myślą z satysfakcją i z lekkim perskim oczkiem głęboko ukrytym.

Przedwojenny „Kurier Warszawski” utrzymywał się pęknę w połowie z nekrologów. Wielkość i miejsce ogłoszenia o czymś zgonie nadawały rangę społeczną zarówno nieboszczykowi, jak i jego rodzinie. Liczba ogłoszeń o odejściu tego samego obywatela świadczyła o zasięgu jego popularności, ważności, władzy i sławy; łagodziła ból najbliższych osób.

Nasze pisma codzienne też zamieszczają nekro-